12 stron

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 10 zł.
(9 zł + 1 zł na Dom Słowa Polskiego)

Przebudź się, człowieku Boży w obliczu takich wydarzeń! Okaż i ty swą litość i swe oburzenie. Pierwszą winieneś prześladowanemu, drugie - prześladowcy.

Św. Bernard z Clairvaux
Listy do Papieża.

Rok 2 Łódź, 12 sierpnia 1946 r. Nr 31 (49)

VOLTAIRE

Przekład PAWŁA HERTZA

Ze „Słownika Filozoficznego"

Fragmenty poniższe przetłumaczono według tekstu edycji czternastotomowej „Dictionnaire i philosophique", Pierre Didot l'Aine, Firmin Didot, Paris, 1816. W wydaniu tym zgromadzone zostały przez wydawcę, jak to już uprzednio uczynili inni wydawcy, artykuły Voltaire'a zamieszczone w Encyklopedii i inne, przeznaczone do Słownika Akademii Francuskiej.

OPAT

„Dokąd to czcigodny opat idzie? etc". Czy opat wie, że „opat" to znaczy tyle, co ojciec? Jeśliby czcigodny opat nim został, to oddałby tym samym wielką przysługę państwu; zrobiłby opat najlepszy uczynek, jaki może zrobić mężczyzna: spłodziłby istotę myślącą. W dziele tym byłoby coś boskiego. Lecz jeśli opat jest tylko po to, by nosić tonsurę, pelerynkę i oczekiwać zwykłego dochodu, to nie zasługuje opat na to miano.

Dawni mnisi nadawali je wybieranemu przez siebie przełożonemu. Opat był ich duchowym ojcem. Cóż, z biegiem czasu te same nazwy oznaczają rzeczy różne! Opat duchowny był to biedak stojący na czele innych biednych: lecz biedni ojcowie duchowni mają od dwustu lat czterysta tysięcy liwrów renty: a w Niemczech są dziś tacy biedni ojcowie duchowni, którzy mają pułk gwardii przybocznej.

Biedak, który złożył śluby, że będzie biedny, a w rezultacie jest panującym! Powiedziano to już nieraz; trzeba to powtarzać tysiąc razy, tolerować tego nie wolno. Prawa są przeciwne temu nadużyciu, religia się nim gorszy; a prawdziwi biedacy, bez odzieży i bez jadła, wznoszą okrzyki ku niebu tuż u drzwi czcigodnego opata.

Słyszałem czcigodnych opatów Italii, Niemiec Flandrii, Burgundii, którzy mówią: dlaczego byśmy nie mieli gromadzić dóbr i zaszczytów? dlaczego nie mielibyśmy być książętami? Przecież są nimi biskupi. Oni początkowo byli biedni jak my, wzbogacili się, zostali wywyższeni; jeden z nich stał się wyższy niż króle: a więc starajmy się ich naśladować, jak tylko możemy.

Macie rację, Czcigodni, opanujcie ziemię, ona należy do silnego lub do tego, kto nią owładnie przy pomocy sprytu; skorzystaliście z czasów ciemnoty, zabobonu, szaleństwa, po to, by nas wyzuć z naszego dziedzictwa, by sobie nas podporządkować, by tyć kosztem nieszczęśliwych: drżyjcie, by nie nadszedł dzień, w którym zatriumfuje rozum.

GRANICE LUDZKIEGO ROZUMU

Pewnego dnia zapytano Newtona, dlaczego może chodzić wówczas, gdy ma na to ochotę i jak się to dzieje, że jego ramię i dłoń poruszają się zgodnie z jego wolą. Newton nie zawahał się odpowiedzieć, że nie wie. Lecz niech przynajmniej pan, pytano go dalej, pan, który tak dobrze zna prawo ciążenia planet, powie mi, dlaczego planety poruszają się w tym a nie w innym kierunku; Newton znów wyznał, że nie wie.

Ci, którzy nauczają, że Ocean jest słony, dlatego że gdyby nie był słony, mógłby się zepsuć, że przypływ i odpływ morza są po to, by wskazywać naszym okrętom drogę do portów, byliby nieco zawstydzeni jeśliby im powiedziano, że na wybrzeżach morza Śródziemnego są porty, a morze to nie zna przypływu. Sam Musschembrock popełnił to przeoczenie.

Czy mógł ktoś kiedyś dokładnie powiedzieć, dlaczego drzewo zmienia się w ogniu w płonący węgiel i jak się to dzieje, że wapno zapala się w zetknięciu z czystą wodą?

Czy dobrze jest znana pierwsza zasada uderzenia serca zwierzęcego? czy wiadomo zupełnie dokładnie jak odbywa się proces płodzenia? czy odkryto to, co jest przyczyną naszych wrażeń zmysłowych, wyobrażeń, pamięci? Nie wiemy więcej o istocie materii niż dzieci, które dotykają powierzchni.

Któż nas nauczy, jak się to dzieje, że ziarno zboża, które rzucamy w ziemię wyrasta w ciężki kłos i dlaczego ten sam grunt rodzi jabłko u szczytu tego drzewa, a kasztan na drzewie sąsiednim? Wielu uczonych mawiało: czegóż nie wiem? Montagne mówił: Cóż wiem?

Ty, który tak bezlitośnie wyrokujesz, pedagogu, pełen frazesów, gadatliwy mędrku, szukasz granic swego rozumu? One są na końcu twego nosa.

Voltaire mal. Largilliere

RÓWNOŚĆ

(Rozdział II)

Nie wszyscy biedacy są nieszczęśliwi. Większość z nich urodziła się w nędzy i nieustanna praca nie pozwala im zbytnio odczuwać ich położenia; lecz gdy je wreszcie odczuwają, wówczas jesteśmy świadkami wojen, takich, jak wojna partii ludowej przeciwko Senatowi w Rzymie, jak wojna chłopska w Niemczech, w Anglii, we Francji. Wszystkie te wojny, wcześniej czy później, kończyły się ujarzmieniem ludu, gdyż możni posiadają pieniądze, a pieniądze dają pełnię władzy w państwie; mówię „w państwie", gdyż nie ma to znaczenia w stosunkach między narodami; naród który najumiejętniej będzie się posługiwał żelazem podbije zawsze naród, który będzie miał więcej złota i mniej odwagi.

Każdy człowiek rodzi się z dość gwałtowną skłonnością do panowania, posiadania bogactw i używania rozkoszy, oraz z wielką ochotą do lenistwa; w rezultacie każdy człowiek chciałby posiąść majątek, żony lub córki innych ludzi, być ich panem, darz rady państwa. To też równość jest jednocześnie czymś najbardziej naturalnym i najbardziej ułudnym.

Wobec tego, że ludzie, jeśli tylko mogą, stają się we wszystkim przesadni, nierówności tej nadużyto; w wielu krajach utrzymują naprzykład, że nie wolno obywatelowi opuścić tej okolicy w której się urodził; zmysł tego prawa jest oczywisty: „Kraj ten jest tak zły i tak jest źle rządzony, że zabraniamy komukolwiek go opuszczać, gdyż obawiamy się, że opuszczą go wszyscy obywatele". Zmieńcie to; zróbcie tak, by wszyscy wasi poddani mieli ochotę mieszkać w waszym kraju i aby cudzoziemcy chcieli doń przyjeżdżać.

Każdy człowiek w głębi swego serca ma prawo czuć się zupełnie równy wobec innych ludzi: z tego nie wynika jednak, że kucharz kardynała powinien rozkazać swemu panu, by ten ugotował mu obiad. Lecz kucharz może powiedzieć: jestem człowiekiem tak samo jak mój pan; urodziłem się tak samo jak on na tym padole płaczu; mój pan umrze tak samo jak ja w lęku i wśród takich samych ceremonii. Obydwaj wykonujemy te same zwierzęce funkcje. Gdyby Turcy owładnęli Rzymem i gdybym ja wówczas był kardynałem a pan mój — kucharzem, to przyjąłbym go do siebie na służbę. Całe to rozumowanie jest rozsądne i słuszne: lecz zanim sułtan owładnie Rzymem, kucharz winien wykonywać swoje obowiązki, w przeciwnym bowiem razie społeczeństwo ludzkie zwyrodnieje.

Co zaś tyczy się człowieka, który nie jest kucharzem kardynała, ani też nie jest obleczony żadnymi innymi dostojeństwami państwowymi, co się tyczy prywatnego człowieka któremu na niczym nie zależy, lecz który czuje się urażony, iż przyjmują go wszędzie z wyższością i pogardą, dla którego jest oczywiste, że wielu monsignorów nie posiada już ani więcej wiedzy, ani więcej zalet umysłu, ani więcej cnoty niż on, a którego często nudzi wystawanie w ich przedpokojach — cóż ma uczynić taki człowiek? Odejść.

WIECZNOŚĆ

W młodości uwielbiałem nauki Samuela Clarke'a; kochałem go, choć był zdecydowanym arianinem, jak Newton, i do dziś jeszcze czczę jego pamięć, gdyż był to człowiek dobry; lecz piętno jego idei, które wycisnął w moim słabym jeszcze umyśle, zblakło, gdy umysł ten nieco się wzmocnił. uważam, naprzykład, że Clarke równie źle zwalczał teorię wieczności świata, jak źle ustalił realność nieskończonej przestrzeni.

Tyle mam szacunku dla Księgi Rodzaju i dla Kościoła, który tę Księgę przyjął, że uważam ją za jedyny dowód stworzenia świata przed pięcioma tysiącami siedemset osiemnastu laty, według obrządku rzymskiego i przed siedmioma tysiącami dwieście siedemdziesięciu ośmiu laty, według obrządku greckiego.

Cała starożytność wierzyła przynajmniej w wieczność materii; a najwięksi filozofowie przypisywali wieczność porządkowi wszechświata.

Jak wiadomo, wszyscy oni się mylili; lecz można wierzyć bez bluźnierstwa, że wieczny twórca wszechrzeczy stworzył inne światy prócz naszego.

ŚWIĘTOSZEK, ŚWIĘTOSZKOSTWO

Tartufe (Świętoszek), rodzaj męski, imię wymyślone przez Moliera i używane dziś we wszystkich językach europejskich dla określenia hipokrytów, hultajów, którzy posługują się płaszczykiem religii; to jest Tartufe, prawdziwy Tartufe.

Tartuferie (świętoszkostwo), rodzaj żeński, nowotwór językowy powstały od imienia Tartufe (Świętoszek), hipokryzja, hultajstwo bigota; słowo to często było używane w dysputach nad bullą „Unigenitus".

OJCZYZNA

(ROZDZIAŁ I)

Ograniczamy się tu do postawienia kilku zagadnień, których nie możemy rozwiązać.

Czy Żyd ma ojczyznę? jeśli urodził się w Coimbre, czyli w środowisku niedorzecznych ignorantów, którzy będą wytaczali przeciwko niemu argumenty, na które on, jeśli odważy się odpowiadać, będzie dawał równie niedorzeczne odpowiedzi? Czuwają nad nim inkwizytorzy, którzy kazaliby go spalić, gdy by się dowiedzieli, że nie jada słoniny, poczem cały jego majątek stałby się ich własnością. Czy Coimbre jest jego ojczyzną? Czy może on czule kochać Coimbre? Czy może powiedzieć, jak w „Horacjuszach" Piotra Corneille'a:

„Mój drogi kraj jest pierwszą mą miłością,
Śmierć dla ojczyzny jest tak godnym losem,
Że kto żyw, pragnie takiej pięknej śmierci.

Czy Jerozolima jest jego ojczyzną? twierdzi on coprawda niejasno, że jacyś jego przodkowie zamieszkiwali niegdyś tę bezpłodną i kamienistą ziemię otoczoną ponurą pustynią, i że Turcy są dziś panami tego niewielkiego kraju, który im nic nie przynosi. Jerozolima nie jest jego ojczyzną. Nie posiada jej wcale; nie ma ani kawałka ziemi, który by do niego należał.

Czy wszyscy zbrodniarze pośród narodów Europy, którzy sprzedają swoje usługi i swoją krew pierwszemu królowi, który zechce im zapłacić, mają ojczyznę? Nie mają jej, raczej ma ojczyznę drapieżny ptak, powracający każdego wieczoru do dziupli skalnej, gdzie matka jego uwiła gniazdo. Czy mnisi odważą się rzec, iż mają ojczyznę? twierdzą przecież, że ojczyzna ich jest w niebie, lecz ojczyzny ich na tym świecie nie znam.

Czy to słowo „ojczyzna" dobrze brzmiałoby w ustach Greka, który nie wie, że kiedykolwiek żył Miltiades czy Agesileus, a który wie tylko tyle, że jest niewolnikiem janczara, który skolei jest niewolnikiem agi, który skolei jest niewolnikiem paszy, który skolei jest niewolnikiem wezyra, który skolei jest niewolnikiem padyszacha, którego w Paryżu nazywamy „Grand-Turc"?

Cóż to więc jest ojczyzna? Czyż nie jest to przypadkiem urodzajne pole, którego właściciel, mieszkający w wygodnym dobrze utrzymanym domu, mógłby rzec: to pole, które uprawiam, ten dom, który zbudowałem są moją własnością; mieszkam tu i żyję pod ochroną praw, których żaden tyran nie może naruszyć. Gdy ci, którzy jak ja posiadają pola i domy, zgromadzą się dla obrony swych wspólnych interesów, to w zgromadzeniu tym będę miał głos; jestem częścią wszystkiego, częścią wspólnoty, częścią władzy; oto moja ojczyzna. Każdy inny układ stosunków ludzkich czyż nie przypomina stajni w której stajenny okłada konie biczem w zależności od swego widzimisię? Ojczyznę ma się wtedy, gdy dobry jest król; nie posiada się jej, gdy król jest niedobry.

RZĄD

(WYJĄTKI)

Niejeden naród pragnie nowej konstytucji: Anglicy chcieliby zmieniać ministrów co osiem dni; ale nie mieliby ochoty zmienić formy swego rządu. Nowocześni Rzymianie są dumni z bazyliki Św. Piotra i ze starych posągów greckich; lecz lud wolałby być lepiej żywiony i lepiej odziany, choćby go mniej obsypywano błogosławieństwami: ojcowie rodzin życzyliby sobie, by Kościół miał nieco mniej złota, lecz by w ich spichlerzach było więcej zboża; wzdychają do tych czasów, gdy apostołowie chodzili pieszo, a gdy obywatele rzymscy jeździli w lektyce od pałacu do pałacu.

Wciąż wychwalają przed nami piękne republiki Grecji; z pewnością Grecy przekładaliby rządy Peryklesów i Demostenesów nad rządy paszy. Lecz republiki te, niegdyś kwitnące, narzekały ustawicznie; niezgoda, nienawiść panowały nazewnątrz, miedzy miastami, i wewnątrz każdego z nich. Grecy dali prawa starożytnym Rzymianom, którzy nie posiadali ich jeszcze, lecz ich własne były tak złe, że zmieniali je ustawicznie.

*

Orzeł rządził ptakami w całym Państwie Ptasim. Coprawda nie miał innego prawa prócz prawa dzioba i szponów. Lecz ostatecznie, po zaspokojeniu potrzeb swego stołu i swoich przyjemności, rządził lepiej niż jakikolwiek inny drapieżny ptak.

Gdy był już stary napadły go głodne sępy, które przybyły z dalekiej północy — by zniszczyć wszystkie należące do niego prowincje. Wówczas zjawił się puszczyk, urodzony wśród najlichszych zarośli cesarstwa, którego oddawna nazywano: lucifugax. Był sprytny, sprzymierzył się z nietoperzami; i wówczas gdy sępy walczyły z orłem, nasz puchacz wraz ze swą bandą wkroczyli w charakterze rozjemców na skalną równinę, o którą toczyła się wojna.

Orzeł i sępy, po długiej walce, zwrócili się w końcu do puchacza, który potrafił dzięki swojej poważnej minie uzyskać wpływ na obie strony.

Wytłumaczył orłowi i sępom, że powinni przyciąć sobie nieco szpony i koniuszki dziobów, by łatwiej dojść między sobą do zgody. Dawniej puchacz mówił zawsze ptakom: bądźcie posłuszni orłowi, potem: bądźcie posłuszni sępom, wreszcie: bądźcie posłuszni mnie! Biedne ptaki nie wiedziały już kogo słuchać i zostały oskubane przez orła, sępa, puchacza i nietoperze. Qui habet aures audiat.

ANDRZEJ STAWAR

SIENKIEWICZ (II)

PEDAGOGIKA HISTORYCZNA

To nie epoka narzucała pojmowanie w duchu sarmackim jako jedynie możliwe. Tendencja i nastawienia odbijają nastawienia późniejsze. Sienkiewiczowski obraz przeszłości został w specyficzny sposób przefiltrowany przez alembik późniejszych pojęć sarmackich i w swej jednostronności jest w gruncie ahistoryczny. Pod tym względem poprzednicy Sienkiewicza ustępujący mu pod względem artyzmu narracyjnego — Rzewuski, Kraszewski, Kaczkowski wykazują pod wieloma względami szerszy pogląd w pojmowaniu przeszłości.

Te sprawy w żadnym razie nie dadzą się sprowadzić do baśniowej, arealistycznej koncepcji świata. Entuzjaści Sienkiewicza zawsze podkreślali jego rolę wychowawcy.

Znany jest np. wpływ wywierany przecież na umysłowość legionistów Piłsudskiego. A więc gdy weźmiemy nieprzyjazny dla techniki militarnej stosunek, jaki na ogół znamionował oficerstwo, wyszłe z tych legionów, to mamy tu sprawę wspólnej mentalności. Nie bez racji więc we wspomnianym już artykule „Dziś i jutro" autor dostrzega związek między owymi opiewanymi przez Sienkiewicza szarżami husarii, a niektórymi epizodami kampanii 1939 r. Z sienkiewiczowskim pojmowaniem militaryzmu godzą się przecież specjaliści wojskowi, którzy w przededniu wojny poważnie dowodzili sztabowcom angielskim, że koń więcej wart od tanka — dowódcy, którzy kazali podczas wojny własnej kawalerii atakować zespoły niemieckich tanków i rąbać szablami ich pancerze. Istotnie „Trylogie" przenika kult bohaterstwa wojskowego, ale połączony z pewnego rodzaju niedzielnym pojmowaniem militaryzmu, szerzącym kult dla fuszerki wojskowej. Wszystko w owym sławetnym sosie „idealizmu", wyższości ducha nad materią, zawodności rozumu ludzkiego, itp. pierwiastków rzekomej rodzimości, rdzenności narodowej. Zresztą i w tym wypadku owe wrogie technice nastawienie przeważnie opiera się po prostu na gloryfikacji techniki przestarzałej, tak samo muszkiet jak i kopia czy młot rycerski do rozbijania zbroi przeciwnika są dziełem techniki wojennej — tylko odpowiadającej różnym czasom.

Temperament pisarski skłania autora „Trylogii" na stronę pojęć wojskowych szlachty siedemnastowiecznej. Znamienny rys z opisu przedstawicieli różnych broni zebranych w Zbarazu — między innymi autor przedstawia oficera piechoty w pięknym kolecie z długą trzciną w garści, „z mieszczańskim sercem" w piersi. W pojęciach rycerskich mieszczańskie serce stanowiło równoznacznik serca zajęczego, a więc pozorów wojackich przy braku ducha wojennego. Zresztą piechotę Sienkiewicz przedstawia miejscami korzystnie, ale z nalotem cudzoziemszczyzny — (Niemcy Flicka w „Ogniem i mieczem").

Dla ludzi, którzy uważają pojęcie dekadencji związane z niektórymi cechami inteligenta schyłku XIX w. dziwne wyda się zastosowanie tego pojęcia do świata „Trylogii" z jego fizyczną tężyzną, krzepą antyintelektualizmem, biologiczną żywiołowością. A jednak w „Trylogii" historycznie biorąc autor gloryfikuje schyłkowość stylizowaną na tężyźnie, tchnącą w gruncie nastrojami swoistego fin de siecle.

W kilkadziesiąt lat po wypadkach opisanych w „Trylogii" sławiona przez Sienkiewicza husaria nosiła już w kraju przydomek „pogrzebowego wojska", bowiem widziano tych husarzy przeważnie przy okazjach uroczystych pogrzebów i zjazdów.

TYPIZACJE

Że psychologia bohaterów stanowi słabą stronę Sienkiewicza, o tym nieraz pisano. Jednostronność i schematyzm w kreśleniu figur nie dopuszczające np. do udziału motywów bardziej złożonych — bywały znowu spychane na intelektualnego ducha epoki. Np. Skrzetuski zostaje wysłany przez księcia Wiśniowieckiego w przededniu powstania na Zaporoże pozornie z misją oficjalną a w istocie w celach wywiadowczych. Wiezie ze sobą listy poufne do pułkowników kozackich sprzyjających Rzeczpospolitej. Przy wjeździe na Sicz wynika zatarg zbrojny ze strażą — poturbowany, poraniony Skrzetuski dostaje się w ręce kozackie. Listy wpadają w ręce zwolenników Chmielnickiego. Podczas tego wydarzenia Skrzetuski zachowuje się jakby w boju na szarży. Autor nawet zdaje się nie zauważył, że jego wzorowy bohater wywiązuje się więc ze swojej misji w najgorszy sposób, zasypawszy, mówiąc po dzisiejszemu ludzi, do których był wysłany. A nie przesadzajmy znowu z tą osławioną prostotą czasów dawnych — w wieku siedemnastym wymagania w stosunku do oficerów wywiadu wcale tak bardzo nie odbiegały od wymagań wieku XX.

Sienkiewicz ulega z reguły pokusom konwencjonalizmu i sztucznej typowości literackiej. Przykład tej manjery stanowi Bohun — znowu „typowy kozak" ognisty, dziki, uczuciowy, muzykalny, ten „typowy kozak" z szablą i teorbanem wzięty został po prostu z zapasów poezji i beletrystyki dawniejszej.

Rysunek duchowy bohaterów został sztucznie uproszczony — albo święta prostota rycerska Skrzetuskich i Podbipiętów, albo fortele Zagłoby. Takiej prostoty nie było nawet w wieku siedemnastym — ludzie przedstawiali się niemniej skomplikowanie od dzisiejszych. Sienkiewicz nie chwyta złożoności epoki, gdzie opisuje zjawiska czy osobistości bardziej złożone (np. Ossoliński w „Ogniem i mieczem"), tam daje po prostu poprawny referat o obowiązującym poziomie, ale nie widać wczucia się w zjawisko.

W „Potopie" technika beletrystyczna stoi wyżej, — choć taki Kmicic przewyższający plastyką słynną trójkę rycerzy — również jest wygrany właściwie na jednej płaszczyźnie.

Na oddzielne rozpatrzenie zasługuje najlepsza postać „Trylogii" Zagłoba. Traktowanie Zagłoby przez autora, ulega w toku powieści znamiennej ewolucji. Jak wiadomo Sienkiewicz pisał swe powieści odcinkami w miarę drukowania w dzienniku — przy namiętnym zainteresowaniu wzbudzanym przez powieść z natury rzeczy kontakt z czytelnikiem wynikał nader ścisły. Ten objaw zresztą towarzyszy początkom nowoczesnej powieści. W bardzo podobnej atmosferze o stulecie wcześniej ukazywały się powieści np. Richardsona w Anglii. Czytelnicy przesyłali swoje wyrazy entuzjazmu, troski o losy bohaterów, dorady jak pokierować rozwojem akcji — ustalała się jakby systematyczna współpraca opinii czytelniczej z powieściopisarzem.

Sienkiewicz później wyrażał żal, iż w początkach „Ogniem i mieczem" Zagłobę postawił za nisko pod względem moralnym. Pijanica, kostera, blagier, samochwał, tchórz o kryminalnej przeszłości w dodatku — rzecz dla szlachcica najkarygodniejsza — niezbyt ceni sobie swój podejrzany w istocie klejnot szlachecki skoro wiesza się w charakterze kompana i totumfackiego przy kozaku Bohunie. Następnie autor podnosi Zagłobę coraz wyżej, robi go bardziej uobywatelnionym, godniejszym. Nie trudno spostrzec motywy tej ewolucji. Gdy Sienkiewicz zaczynał pisać „Ogniem i mieczem", zainteresowania narracyjno-artystyczne pochłaniały go w sposób wyłączny. Po pierwszych rozdziałach został „sans le savoir" ideologiem, wieszczem nowej ery, dokonywującym wielkiego przełomu w duszach. Entuzjazm z jakim powitano nowe objawienie ducha narodowego wymagał dociągnięcia całej pracy do wyżyn, na których pragnął je widzieć zachwycony konserwatywny czytelnik. Zagłoba w pierwszych rozdziałach powieści bawił ale raził, bo nie dorastał do poziomu reprezentanta kresowej szlacheckiej polskości w trudnej chwili dziejowej. Sienkiewicz ulegał temu naporowi atmosfery czytelniczej, podnosząc diapozon moralny powieści, podnosił Zagłobę.

Z drugiej strony nie trudno zauważyć, iż artystycznie Zagłoba traci, staje się uboższy w wyraz, bardziej schematyczny. Iście flamandzki rozmach z jakim autor rzucił go w pierwszych partiach dzieła ustępuje trak-

W SPRAWIE KIELECKIEJ

Do
REDAKCJI „KUŹNICY"

Niżej podpisani zgłaszają swój akces do oświadczenia ogłoszonego w „Kuźnicy" Nr 28 z dnia 22 lipca 1946 r. w sprawie haniebnego pogromu w Kielcach:

Władysław Kowalski, literat, **Faustyn Kulczycki,** rektor Państw Szkoły Muzycznej, **Jan Skotnicki,** artysta malarz, **Janina Kilian - Stanisławska,** publicystka, **Jan Nepomucen Miller,** literat, **Kazimierz Czachowski,** krytyk, **Zofia Kijkowska, Mieczysław Rulikowski,** krytyk, **Wanda Padwa,** teatrolog, **Aleksander Wat,** literat, **Maria Gorczyńska,** artystka dramatyczna, **Dr Józef Słotwiński, Piotr Perkowski,** kompozytor.

*

Dalsze nazwiska pracowników kultury, solidaryzujących się z protestem „Kuźnicy" w sprawie kieleckiej:

Bratny Roman, literat, **Dr Inż. Bonder Julian,** prof. Politechniki **Śląskiej, Dygat Stanisław,** literat, Mgr **Geppert Lila, Gomólicki Leon,** literat, **Bohdan Kamodziński,** literat, **Stanisław Krzyżewski,** literat, **Kwiatkowski Mieczysław,** dziennikarz, **Dr Inż. Kuryłowicz,** doc. Uniw. Poznańskiego, nacz. red. „Walka Ludu", **Dr Saloni - Kulczycka, Lenica Alfred,** wiceprez. Zw. P. Artystów Plastyków w Poznaniu, **dr Lutman Roman,** dyr. Inst. Śląskiego, **Majewski Kazimierz,** prof. Uniw. Wrocławsk. **Dr Minich Marian,** dyr. Muzeum i Sztuki w Łodzi, **A. F. Kirło-Nowaczyk,** literat, **Schabowski Czesław,** literat, **Dr Saloni Juliusz,** prof. U. Ł., **Teisseyre Stanisław,** artysta plastyk, **Wroński Henryk,** publicysta, **Wallis Mieczysław,** prof. U. Ł., **Wolff Jerzy,** art. plastyk.

*

W dniu 24 lipca 46 r. na walnym zebraniu pracowników artystycznych, technicznych i administracyjnych Teatrów Wojska Polskiego i TUR w Łodzi powzięto rezolucję, potępiającą najsurowiej mord kielecki.

*

Do Redakcji „Kuźnicy"

Prosimy o przyjęcie oświadczenia, że zgrupowani w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej w Krakowie Młodzi plastycy i pracownicy sztuki, studenci ASP i UJ., solidaryzują się całkowicie ze stanowiskiem Zespołu Kuźnicy zarówno w konkretnym wypadku zbrodni kieleckiej jak i w całokształcie reprezentowanego przez Zespół społeczno - ideowego stanowiska.

A. Hoffman
J. Ewa Kierska
D. Elsner
Marian Szulc
Franciszek Bunsch
Jerzy Nowosielski
Stanisław Wójcik

*

W nr. 30 „Tygodnika Powszechnego" z dn. 28 lipca b. r. zamieszczono oświadczenie pisarzy katolickich, potępiające pogrom kielecki. Oświadczenie to przedrukowujemy w całości:

OŚWIADCZENIE

Świadomi nieobliczalnej klęski moralnej, jaką stały się dla całej Polski tragiczne wypadki kieleckie z całym poczuciem odpowiedzialności za nasze słowa, potępiamy w sumieniu i publicznie ich sprawców pośrednich i bezpośrednich. Apelujemy do społeczeństwa polskiego, do tych wszystkich dla których godność i sumienie Polaka i katolika nie jest pustym dźwiękiem by w imię moralności chrześcijańskiej, w imię wiekowej kultury obyczajowej naszego kraju i jego wielkich chlubnych tradycji, odcięli się w sumieniu i w czynie od zbrodni płynących z antysemityzmu, a na jednostki zaślepione i otumanione starali się bez zwłoki wywrzeć wpływ przywodzący je do opamiętania. Opinia polska tam gdzie chodzi o zbrodnie musi być jednolita. Kto się ze zbrodniarzami solidaryzuje, stawia się poza nawiasem społeczności katolickiej i polskiej. Jako pisarze i publicyści katoliccy oświadczamy, że żadne względy nie mogą usprawiedliwić podeptania prawa boskiego i zhańbienia dobrego imienia Polski w świecie.

Aleksander Bocheński, Antoni Gołubiew, Maria Morstin-Górska, Dominik Horodyński, Paweł Jasienica, Wojciech Kętrzyński, Stefan Kisielewski, Feliks Konopka, Tadeusz Kwiatkowski, Zygmunt Leśnodorski, Hanna Malewska, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Wojciech Natanson, Jerzy Radkowski, Stanisław Rostworowski, Kazimierz Zenon Skierski, Stanisław Stomma, Alina Świderska, Anna Świrszczyńska, Jerzy Turowicz, Konstanty Turowski, Włodzimierz Wnuk, Jacek Woźniakowski, Jerzy Zagórski.

Inicjatorzy oświadczenia proszą pisarzy i publicystów katolickich, chcących się przyłączyć do powyższego oświadczenia, o nadsyłanie swych nazwisk na adres „Tygodnika Powszechnego".

towaniu bardziej ostrożnemu, wstrzemięźliwemu. Sienkiewicz wyrażając ubolewanie nad zbyt niskim poziomem moralnym pierwszego rzutu Zagłoby, nie przerobił zasadniczo tych epizodów w późniejszych wydaniach. Instynkt pisarza na to mu nie pozwalał — artystycznie bowiem biorąc, uszlachetniony, uobywatelniony Zagłoba w późniejszych partiach „Trylogii" żyje na rachunek Zagłoby łajdusa, wykolejeńca i franta obdarzonego talentem towarzyskim.

Zagłobę zestawiano z Szekspirowskim Falstaffem, podobnym tak rysami osobistymi jak i wigorem plastycznym w przedstawieniu. I Szekspir miał też niejakie kłopoty ze swoim Falstaffem co prawda na innym tle nieco. Ale trudno byłoby udowodnić jak poprawiony Falstaff mógłby służyć angielskości. Trudno też rozważać szkody, które mógłby Zagłoba przynieść polskości oraz ideałom szlachecko-rycerskim jako i pożytek jaki przynosił swą poprawą.

Można tu dostrzec krępujące działanie swoistych kompleksów obronnych charakterystycznych w ogóle dla kultury polskiej zwłaszcza w tym okresie ale i przykład konformizmu artystycznego cechującego Sienkiewicza. Wrażliwość pisarza na sugestię środowiska i na powaby popularności, te elementy konformizmu artystycznego, spowodowały jeśli nie obniżenie klasy, to przynajmniej nie wydobycie wszystkich możliwości Sienkiewicza jako artysty.

Na poparcie swojej tezy o baśniowym charakterze stylu „Trylogii" p. Szwejkowski cytuje upodobania autora w olbrzymach, okazach wyjątkowej siły fizycznej Herkulesach i Wyrwidębach.

Ukolosalnienie realnych wydarzeń stanowi niewątpliwie jedną z cech stylu legendowego czy baśniowego. Legendotwórcze tendencje występują u Sienkiewicza na podłożu znowu prymitywnie realistycznym, co może uwydatnić się na przykładzie obrazu walki z bykiem, Liga Ursusa w „Quo Vadis". Prawdopodobnie Sienkiewicz przebywając dłuższy czas w stepach amerykańskich wśród pasterzy mających do czynienia ze zdziczałym bydłem miał okazję widzieć jak pasterz osadza i powala rozhukanego byka, co człowiekowi z miasta wyda się trudne do uwierzenia. Polega to nie tylko na sile, ale na specjalnym chwycie — ujmując zwierzę jedną ręką za róg, drugą za pysk człowiek zyskuje z głowy zwierzęcia coś w rodzaju uchwytu korbowego, którego raptowne przekręcenie wyważa kręgi karku. Straszliwy ból, paraliżuje ruchy zwierzęcia i wali je na ziemię. Chwyt raczej w stylu jakiegoś pasterskiego dżiu-dżitsu — znany i naszym górskim pasterzom, w którym zręczność, przemyślność i prymitywna znajomość anatomii zwierzęcia — bierze przewagę nad wagą i siłą mięśni — miejskiej publiczności cyrkowej wydać się może czymś wprost cudownym. Jak to opisuje Sienkiewicz?—Ursus zbliża się do byka mającego Ligię przywiązaną na grzbiecie, chwyta rogi byka i długo mocują się wpierając nogi w piasek, napinając mięśnie, oblewając się potem itp., słowem daje popis siły mięśniowej.

Wrażenie cudowności osiąga się przez opuszczenie ogniw obrazu i przeinaczenie momentu realnego. Walkę tura z Ligiem warto porównać ze sceną polowania w „Krzyżakach", gdzie tur wali uzbrojonych rycerzy, podrzuca z końmi w górę, słowem walka opisana została realistycznie.

W danym razie na pierwszy plan wysuwa się nie tyle kwestia stylu, realistycznego, czy antyrealistycznego, ale połowiczność, eklektyzm. „Cudowność" powieści awanturniczej, dowolna w ujęciu stylowym, nie szuka dla siebie form, nie wytwarza przejść i robi po prostu wrażenie niedostatecznej kontroli aparatu realistycznego. To bywa po prostu obliczone na efekt doraźny, na gust galerii, jak wspomniana scena cyrkowa z „Quo Vadis" z całym jej sentymentalnym sadyzmem.

Sienkiewicz mający ze sobą pierwszorzędne obrazy realistyczne nie może być uważany za antyrealistę. Ale Sienkiewiczowi obce jest mocowanie się z tradycyjnymi metodami ujęcia materiału, dążenie do wypracowania jednolitego wyrazu artystycznego, staranna eliminacja obcych motywów, podporządkowanie wszystkich użytych środków jednolitemu celowi — Sienkiewicz artysta pozostaje eklektykiem, poświęcającym wiele dla efektu narracyjnego. To tłumaczy olbrzymie sukcesy czytelnicze powieściopisarza, ale też i rezerwę jaka istnieje w stosunku do niego w kołach specjalistów literatury.

Autor „Quo Vadis", rzecz częsta u naszych artystów, gospodarował swym talentem w sposób dość ekspansywny. Mało w nim tej pasji poszukiwacza jaka cechuje artystę-odkrywcę. Świadczy o tym choćby monotonia fabularna — we wszystkich powieściach historycznych akcja opiera się na tym samym motywie porwania czy uprowadzenia dziewczyny i poszukiwań jej przez kochanka. W „Panu Wołodyjowskim" porwanie się nie udaje, ale też powieść wypadła o połowę krótsza od innych. Bujności, wyrazistości w skreśleniu epizodów nie towarzyszy odpowiednia inwencja tematyczna. Nie jest to sprawa drugorzędna, większe zróżnicowanie fabuły niewątpliwie zmusiłoby pisarza do głębszego wniknięcia w epoki opisywane, głębszego wniknięcia w sprawy ludzkie. Przyjęty z góry, powtarzający się schemat świadczy nie tylko o ubóstwie inwencji fabularnej, ale daje również świadectwo pewnej filozofii — ujmowania spraw ludzkich w kategorie „zajazdowe" tradycyjne dla polskiego szlachcica. Różne epoki, style życia autor sprowadza do tej wspólnej kategorii zajazdowej filozofii dziejów.

KRZYŻACY

Ogólnie biorąc w rozwoju techniki powieściopisarskiej Sienkiewicza w powieściach historycznych występuje dość ciekawa ewolucja, która uwydatni się jeśli porównamy np. „Potop" z „Ogniem i mieczem"; wykazywane są różnice między „Ogniem i mieczem" a „Potopem" w traktowaniu zagadnień polityczno-państwowych. Nie mają one znaczenia decydującego, ale niewątpliwie można w nich widzieć odbicie polemik, z którymi spotkało się w „Ogniem i mieczem". Ogólnie biorąc „Potop" zdradza tendencje do pogłębienia rozszerzenia historycznej koncepcji, nawet miejscami ze szkodą dla werwy narracyjnej. Podobny rys występuje gdy porównamy całą „Trylogię" z „Krzyżakami".

Powieść ta wykazuje mniej barwności, plastyki, bujności w przedstawieniu epizodów, może dlatego, że autor nie miał tu owych bogatych zapasów półfabrykatu literackiego, w który obfituje wiek siedemnasty. Ale wysiłek w rekonstrukcji epoki jest większy, posiada szalę o wiele bogatszą. Monumentalizowanie epoki bardziej przekonywa. Działa tu oczywiście i ten czynnik, że bliski autorowi świat rycersko-szlachecki, w czasach „Trylogii" idący do upadku, przejawiający rysy schyłkowe, w epoce „Krzyżaków" o ćwierć tysiąca lat wcześniejszej, idzie w górę, dochodzi do pełni sił i wigoru. Krzyżackie państwo rycerzy mnichów przy niewątpliwych na swe czasy walorach techniczno-organizacyjnych stanowi konstrukcję anachronistyczną. Prymitywniejsza cywilizacyjnie ziemiańsko-rycerska Polska przewyższa Zakon nie tylko zasobem sił, ale i zdolnością lepszego zużycia, myśl organizacyjna mniej wyrobiona w szczegółach ma jednak większy rozmach, sięga dalej. Nawet owa sympatia pisarza do świata ziemiańsko-rycerskiego ma tu swój obiektywny historycznie odpowiednik. Podobnie bohaterowie „Krzyżaków" znowu przy mniejszej efektowności i barwności niż w „Trylogii" traktowani są gruntowniej. Taki Maćko z Bogdańca jest bogatszy w wyrazie, bardziej bryłowaty niż przeważnie jednopłaszczyznowo traktowane figury „Trylogii". Składają się w nim najróżniejsze rysy sharmonizowane przecie w jednolitym wyrazie — rycerską drapieżność (z nalotem raubritterskim) łączy z przemyślnością i sprytem. Instynkt prymitywny człowieka walki zazębia się w nim z myśleniem gospodarskim — słowem nawet przy swej „typowości" jego życie wewnętrzne bogatsze jest w motywy niż bohaterów „Trylogii".

Zresztą i sens aktualno-polityczny „Krzyżaków" w dobie ich powstania okazał się trwalszy. Wymieniona umiejętność Sienkiewicza — stawiania „tezy", zespalania jej z materiałem beletrystycznym w „Krzyżakach" przejawiła się w sposób znakomity. To też powieść mniej skądinąd efektowna narracyjnie, niż cykl „Trylogii, zachowała swoją żywotność i trwałość zarówno w koncepcji historycznej, jak i choć w jednostronnie potraktowanym obrazie czasów dawnych.

PŁOSZOWSKI I POŁANIECKI

Po „Trylogii" Sienkiewicz napisał „Bez dogmatu" i „Rodzinę Połanieckich" — powieści „z tezą", związane ze sobą tematycznie.

„Bez dogmatu" wzbudziło w swoim czasie wielkie wrażenie — jeszcze Feldman określał powieść jako „arcydzieło analizy". Potem utwór zwietrzał. Boy-Żeleński wspominając pod jakim urokiem tej książki pozostawał we wczesnej młodości, traktuje to jako rys zlekka komiczny. Podobnie dzisiejsi katolicy nie entuzjazmują się już tym utworem.

„Bez dogmatu" wydaje się najbardziej osobistą książką Sienkiewicza. Nie dlatego, że pisana jest w pierwszej osobie i nie dlatego, by autor utożsamiał się z przeżyciami bohatera — w Płoszowskim Sienkiewicz raczej wyobcowywuje własne treści duchowe, kładzie je jakby w ujemny nawias czy cudzysłów. Tendencja zasadnicza nie całkiem pokrywa się z materiałem, który jest ciekawszy. Sam problem czy bogaty neurastenik, nie wiedzący co począć z własnym czasem i własną osobą, lepiej by wyszedł życiowo na posiadaniu dogmatycznej wiary nie wydaje się arcyważny, życie duchowe Płoszowskiego zaś nie jest ani zbyt bogate w gruncie rzeczy ani tak bardzo złożone. Psychologizm powieści był raczej zewnętrzny— drobiazgowości w analizowaniu przeżyć, „rozszczepianiu włoska na czworo" nie odpowiada rozległość koncepcji psychologicznej. Istotniejsze są w gruncie problemy moralno - kulturalne, co rzuca światło na stanowisko Sienkiewicza w tych sprawach — bardziej złożone niż się to na pierwszy rzut oka wydaje — i na dysonanse kulturalne epoki.

Współczesne powieści Sienkiewicza mimo dużych zmian w sądach krytyki ich dotyczących zachowały niewątpliwie znaczenie i jako dzieła sztuki pisarskiej i jako dokumenty epoki. Wspomniana już skłonność Sienkiewicza do typizowania zjawisk i postaci, o ile pociągnęła za sobą ujemne skutki w niedostatecznym zróżnicowaniu psychologii bohaterów, w schematycznym traktowaniu materiału, pod wieloma względami wzmacnia instruktywność jego powieści, utrwalając w sposób swoisty wiele rysów czasu.

W założeniu dzieła te stanowiły swoistą korekturę „Trylogii", którą w pewnych kołach przyjęto w duchu neo-romantyzmu — jako zerwanie z „niską" współczesnością, odwrót do wielkości minionych epok, co nie odpowiadało intencjom autora. Ta korektura połączona została z obrazem wpływu ideologii owego czasu na losy bohaterów. W „Bez dogmatu" Sienkiewicz rozprawia się jednocześnie z bezbożnictwem filozoficznym oraz z tendencjami przesadzonego wyrafinowania intelektualnego, doprowadzającego do schorzeń woli, upadku pierwiastka życiowego. Trudno zresztą brać na serio oskarżenia Płoszowskiego jakoby nauka zatruła mu duszę — z nauką nie ma on wiele wspólnego. Jak już wskazywano, żale te, stanowią właściwie poglosy antyintelektualnych wystąpień romantyzmu. Krytyka Płoszowskiego dość gołosłownie kompromituje różne kierunki filozoficzne mające wpływ na ówczesną inteligencję.

Natomiast w Połanieckim po przewalczeniu właściwości ujemnych mamy dojście do głosu tych wartości pozytywizmu, które zdaniem autra miały przetrwać — idea pracy organicznej, potraktowana zresztą w sensie czysto burżuazyjnym jako dorabianie się. Na ludzi, którzy pojmowali „Trylogię" w duchu neoromantycznym „Rodzina Połanieckich" robiła wrażenie jakiegoś zgrzytu. Feldman omawiając przyziemność atmosfery „Rodziny Połanieckich" zapytuje patetycznie — „Czy jest jakikolwiek ślad, że Stanisław Połaniecki bodaj czytał „Ogniem i Mieczem"? Ależ czytał, zachwycał się, czyny przodków uskrzydlały go w codziennej orce spekulacyjnej — pozwalały mu patrzeć z pogardą na „niskość" i „małość" epoki, oraz kierunków, które mu imponowały w młodości.

Powieść i jej bohater stali się przedmiotem ostrej dyskusji. Połaniecki, przedstawiony przez krytykę konserwatywną jako wzór obywatela, u krytyków lewicowych wyszedł jako figura odstręczająca i ujemna — dorobkiewicz i spekulant w najgorszym gatunku. Mamy tu uderzającą różnicę, ilustrującą rozbieżność i dysonanse epoki w pojmowaniu zagadnień moralnych. Moralność burżuazyjna natrafiała na społeczeństwo sfermentowane nowymi ideami sprawiedliwości społecznej.

Zagadnienia moralności pozostają w ścisłym związku z traktowaniem spraw społeczno - obyczajowych. Postacie kobiece — Anielka w „Bez dogmatu" i Marynia w „Rodzinie Połanieckich" etycznie stoją wyżej od mężczyzn moralnie podupadłych lub chwiejnych, reprezentują stałe normy etyczne. Interesujące, że jak stwierdza zresztą p. Starowieyska - Morstinowa w cytowanym artykule w „Tygodniku Powszechnym" Sienkiewicz nie nazbyt wysoko stawia wartość intelektualną swych kobiet. Pani Starowieyska - Morstinowa dostrzega w erotyźmie powieści Sienkiewicza gruby fizjologizm zabarwiony sadyzmem, a obok przejawów kawalerskiej adoracji negliżowanie wartości duchowych kobiety. Tutaj zresztą mamy objaw kryzysu tradycyjnej moralności patriarchalnej. Gloryfikacja wartości moralnych kobiet występuje przy akompaniamencie viveurowskich aforyzmów Płoszowskiego, Połanieckiego i uwag w stylu chińskim „kobieta głupia ma tyle rozumu co kura, kobieta mądra tyle co dwie kury".

Postawienie zasad moralnych po stronie postaci kobiecych stanowi poprostu wyraz pewnego kwietyzmu moralnego, braku praktycznej postawy etycznej. Kobieta może reprezentować poziom etyczny rodziny, ponieważ nie bierze udziału w życiu praktycznym, w walce o byt, mąż ma obowiązek zasłonić ją od tego. W ten sposób moralność, etyka zostaje odłączona od życia praktycznego.

(d. c. n.)

Andrzej Stawar

Tak toczy się światek...

NIE

Krakowskim zwolennikom powrotu Szczecina i Wrocławia do Niemiec przydałaby się lektura prasy zagranicznej. Znajdą tam chłodną ocenę układu sił politycznych w kraju i taktyki swych przywódców. Na zachodzie nie przechodzi bez echa nawet to, co u nas stara się niejednokrotnie pokryć milczeniem po prawicy i czego p. Mikołajczyk nie zdradza korespondentom anglosaskim.

Konserwatywny tygodnik londyński „The Economist" trzeźwo rozważa błędy PSL-u, jakie wyszły na jaw po głosowaniu ludowym. Mikołajczyk, nie chcąc się wyrzec próby sił, której okazję stworzyło referendum, pchnął swą partię na drogę sprzeczną z jej programem. Ugrupowanie ludowe, zwalczające dotychczas senat — głosowało za senatem, który w przeszłości zawsze sprzeciwiał się przeprowadzeniu reformy rolnej. Przywódca partii chłopskiej zabrnął w nonsens i zażądał nonsensu od swych zwolenników: głosowania wbrew ich własnym interesom naprzekór zasadzie i tradycji ruchu. Absurd urósł do rozmiarów nieoczekiwanych. Za najboleśniejszą porażkę PSL konserwatywny organ angielski uważa fakt, że w wynikach referendum, tam gdzie przeważały głosy „nie" — były one potrójne, a nie pojedyńcze: tam więc, gdzie dotarł wpływ Mikołajczyka, głosowano nietylko przeciw systemowi jednoizbowemu, ale również przeciw reformie rolnej, unarodowieniu przemysłu i granicy na Odrze i Nysie. „The Economist" wyciąga z tego wniosek: w okręgach, gdzie PSL uzyskało przewagę nad lewicą, zawdzięcza ją ono głosom extremistów przychylnych gen. Andersowi. Stało się to — komentuje tygodnik — w miejscowościach, gdzie wyrosła nowa powojenna burżuazja.

Milion polskich głosów przeciwnych przyłączeniu ziem zachodnich do Rzeczpospolitej składa się więc na ponurą groteskę, pozbawioną bodaj precedensu w dziejach narodów: jest to pierwszy głos kwestionujący tytuł prawny Polski do tych terenów. Doczekaliśmy się! Milion Polaków ułatwia politykę wielkich kapitalistów zachodnich, wołając: „Nie!" na pytanie, roztrzygające o potędze swego kraju. To „nie" znaczy „tak" w odpowiedzi na pytanie inne — na pytanie: „Czy chcecie silnych Niemiec z bazą wypadową na wschodzie?" Dobrze rozumie to kapitał angielsko - amerykański i docenia zapewne tę pomocniczą szansę w swych wysiłkach odbudowy silnej Rzeszy Niemieckiej.

Na zachodzie bowiem mówi się wiele o granicy Polski nad Odrą i Nysą. Włościanom z linii A—B na rynku krakowskim przydałoby się posłuchać tych głosów. Elmar Davis, komentator jednej z największych radiostacji amerykańskich ABC stwierdza, że konferencja poczdamska pozostawiła ostateczne rozstrzygnięcie polskich granic zachodnich konferencji pokojowej z Niemcami, która może się odbyć za kilka lat. Jeśli na konferencji mocarstwa anglosaskie sprzeciwią się granicom zachodnim Polski, będzie to — zdaniem Davisa — tylko wyrażenie ich opinii, ale jeśli sprzeciwi się Związek Radziecki, będzie to oznaczało zmianę tych granic. Tyle amerykański ABC. Krakowskie A—B woli zapewne słuchać antypolskich mów Churchilla.

Groteska? Niewątpliwie, groteska. Ponura, zastraszająca. Zważmy tylko: od posiadania ziem zachodnich zależy przyszłość Polski. Anglia i Ameryka wypowiedzą się w tej sprawie za kilka lat. W Anglii znalazł się jednak człowiek, który nie chce czekać tak długo i woła już dzisiaj: „Nie". W Polsce znalazło się takich ludzi milion. Jak wobec tego ustosunkować się do faktu, że przywódca niemieckich komunistów Pieck oświadczył ostatnio na zebraniu w Essen, że naród niemiecki będzie musiał się pogodzić z utratą rozległych ziem na wschodzie? Więc demokraci niemieccy rozumieją ogólnoeuropejski sens utraty tych ziem, ale milion Polaków nie chce pogodzić się z ich odzyskaniem? Gdzież p. Mikołajczyk, który mógłby nam poradzić, co uczynić z tak dziwnym owocem jego taktyki?

Ale p. Mikołajczyk należy do ludzi ogłednych i unika ustalania faktów. Nie zająłby zapewne określonego stanowiska, podobnie jak nie umiał go zająć już nie raz, jak wreszcie nie zechciał go zająć ostatnio z okazji pogromu w Kielcach, kiedy to oświadczył, że okoliczności mordu nie są mu bliżej znane. Nie było mu zapewne znane, czy Żydów zabijano łomem, kamieniem, czy też drągiem, albo deską nabitą gwoździami. Bo fakt, że ofiar padło czterdzieści — był chyba znany dostatecznie.

Świat słucha tych wieści. Smutnych wieści z Polski.

Kandyd.

ZDZISŁAW LIBERA

Uwagi o roku szkolnym

Minął rok szkolny 1945-46, pierwszy rok po zakończeniu działań wojennych, pierwszy rok w nowych, zmienionych warunkach odbudowującej się Polski.

Praca oświatowa rozwijała się na wszystkich odcinkach: w szkole powszechnej i zawodowej, w gimnazjum i liceum, w uniwersytecie i politechnice. Wszędzie, na każdym stopniu nauczania zjawiały się problemy wychowawcze i pedagogiczne, których nie znała szkoła przedwojenna. Trzeba sobie zdać z nich sprawę, aby w następnych latach móc łatwiej przezwyciężać trudności, jakie wojna po sobie zostawiła.

Dopiero teraz po roku pracy można ocenić rozmiar i charakter zniszczenia wojennego. Ani istniejąca pod okupacją szkoła powszechna i zawodowa, ani komplety gimnazjalne i licealne, ani tajny uniwersytet i politechnika nie mogły wytrzymać próby porównania z normalnym tokiem zajęć szkolnych. Inne były sposoby i możliwości nauczania. Ponieważ szkoła powszechna, w ograniczonym wprawdzie zakresie mogła jednak spełniać swoje zadania w czasie wojny, dlatego wznowienie jej działalności nie było takim wstrząsem, jakiego doznało gimnazjum ogólnokształcące, które z kompletów przemieniło się z powrotem z instytucję z rozbudowanym aparatem wewnętrznym.

Uwagi i spostrzeżenia o szkole średniej ubiegłego roku, robione na podstawie obserwacji w Warszawie i okolicach podwarszawskich, jakkolwiek ogarniają drobny zaledwie fragment stosunków szkolnych stanowią przecież symptom powojennych czasów.

Nie wszystkie szkoły rozpoczęły swe zajęcia w pierwszych dniach września. Niektóre mogły dopiero rozpocząć pracę w końcu tego miesiąca, inne jeszcze później. Przyczyniły się do tego opóźnienia przede wszystkim warunki lokalowe, które nawet w wypadku rozpoczęcia zajęć wiele pozostawiały do życzenia. Były szkoły, które jeszcze w grudniu nie miały wszystkich okien, w klasach brakowało drzwi, a ogrzewanie centralne nie działało. Były takie gimnazja, których lokal znajdował się w budynku szkoły powszechnej i trzeba było plan zajęć uzgodnić z pracą w szkole powszechnej. Szkoła — w rannych godzinach, gimnazjum w popołudniowych, a że często światło elektryczne gasło, nauka odbywała się przy świecy. Również urządzenia kanalizacyjne nie od razu zaczęły funkcjonować, bo naprawa zależała od skomplikowanych prac z zewnątrz budynku. Toteż nauka szkolna rozwijała się równolegle z odbudową budynków i pod koniec roku daleko było do przedwojennego wyglądu. A nawet i te szkoły, gdzie budynki ocalały, nie miały dostatecznej ilości izb. Ileż trudności pojawiało się, kiedy młodzież dzieliła się na lekcji języków obcych. Jakże ciężko było zorganizować lekcję robót ręcznych bez odpowiedniej pracowni. Bywało nawet tak, że pokój nauczycielski spełniał przez pewien czas rolę kancelarii gimnazjum, gabinetu dyrektora i izby szkolnej. Jeszcze może poważniejsze zagadnienie aniżeli sprawa pomieszczenia stanowił brak odpowiednich pomocy szkolnych. Niedostateczna ilość książek w bibliotece uniemożliwiała zorganizowanie porządnej i systematycznej lektury. Skromne sumy przeznaczone na kupno książek zupełnie nie zaspokajały minimalnych nawet potrzeb. Pewną, ale nie wystarczającą pomoc okazywały biblioteki publiczne, których szlachetna inicjatywa urządzenia bibliotek międzyszkolnych nieznacznie tylko przyczynić się mogła do poprawy sytuacji na tym ważnym odcinku życia szkolnego. Katastrofalnie wprost przedstawiał się stan przyrządów fizycznych i chemicznych. Z kosztownych, precyzyjnych instrumentów kompletowanych przez długie lata nie wiele zostało.

Szczęśliwą czuła się szkoła, kiedy rozporządzała czterema warsztatami stolarskimi, bo były takie gimnazja, gdzie pracownia robót ręcznych dysponowała jedynie chętną do pracy młodzieżą. Modele do rysunków improwizowane, przyrządy gimnastyczne w stanie prymitywu — oto obiektywne warunki, w jakich pracowała szkoła polska w pierwszym roku po odzyskaniu wolności. Niepodobne to warunki do sytuacji przedwojennej, niepodobne również do konspiracyjnych kompletów w czasie wojny, kiedy styl nauczania przystosować się musiał do stylu wojennego życia. Tym nowym warunkom materialnym towarzyszyły wielkie przeobrażenia w życiu duchowym.

Starym tylko z nazwy a nowym z treści stał się zasadniczy problem stosunku domu do szkoły. Dom powojenny z pozoru tylko przypominał dom z przed 1939 roku. Przede wszystkim uległy zmianie warunki mieszkaniowe młodzieży. Inne są warunki pracy, odrabiania lekcji w mieszkaniu zajmowanym przez jedną rodzinę, inne kiedy w tym samym mieszkaniu mieszczą się trzy lub cztery rodziny. Brak światła, brak dostatecznej ilości opału nie sprzyja atmosferze pracy ucznia. Jakże wielki jest procent sierot i półsierot, dzieci wychowywane przez rodziny zastępcze, mieszkających w internatach. A nawet jeżeli rodzice żyją, nie mają czasu na dostateczną opiekę, zajęci od rana do wieczora pracą zarobkową. Kiedy się zważy jeszcze, że styl życia rodzinnego zmienił się wskutek istnienia stołówek przy fabrykach i biurach, wskutek niedogodności mieszkaniowych, nie dziwne się staje, że główny ciężar opieki nad młodzieżą spada na szkołę, której obowiązkiem jest czuwać również nad pozaszkolnymi godzinami młodzieży. Dom jako instytucja wychowawcza w szczęśliwych tylko okolicznościach spełnia podstawowe zadania. Często się nawet zdarza, że warunki domowe przeszkadzają pracy szkolnej.

Bywało tak, że uczeń nie mógł iść do szkoły, bo musiał pilnować młodszego rodzeństwa, bo miano przywieźć do piwnicy węgiel, bo trzeba było iść po odbiór deputatu i stać w kolejce. Rodzice zorganizowani w kołach opieki rodzicielskiej starali się pomóc szkole jak mogli najlepiej. Ich dziełem było przede wszystkim dożywianie, rzecz niezwykle ważna, jeżeli idzie o zdrowie młodzieży. Jednakże sami rodzice ubolewali nad tym, że nie mogą tak się zająć dziećmi, jak by chcieli, a to wskutek złych warunków materialnych uniemożliwiających wprost połączenie pracy zarobkowej z pracą wychowawczą.

Następnym problemem, który wymaga szczególnego i bardziej dokładnego omówienia — to problem młodzieży gimnazjalnej i licealnej. Jeszcze ministerstwo nie ogłosiło dokładnych cyfr, ale można chyba z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że wzrósł bardzo odsetek młodzieży z warstw robotniczych i chłopskich. Były klasy, gdzie 75 proc. i więcej uczniów i uczennic pochodziło z tych właśnie środowisk. To nowe oblicze społeczne szkoły ogólnokształcącej wyciśnięte piętno na charakterze nauki. Inaczej wyglądała klasa w szkole przedwojennej, gdy procent młodzieży proletariackiej był nikły, inaczej wygląda klasa dzisiaj gdy cyfry wyrażające stosunek obu warstw zmieniły się całkowicie. Uczeń z inteligenckiego środowiska nie może w otoczeniu domowym znaleźć tej pomocy, jaką znajduje jego kolega, dziecko naprzykład zamożnego lekarza. Więcej energii musi zużyć szkoła na przekazanie dóbr kulturalnych dzieciom, które nie miały do nich dostępu i dla których są one czymś obcym i dalekim. Z drugiej strony dzieci takie stanowią niezwykle chłonny i wdzięczny element, który wyróżnia się swoją postawą wobec szkoły i rzetelnym stosunkiem do pracy.

Ubiegły rok szkolny był przez to jeszcze trudny, ponieważ charakteryzowała go płynność elementu uczniowskiego. Wskutek tego, że młodzież przybywała z obozów z zachodu, powracali repatrianci ze wschodu, trzeba było przyjmować ją nie zawsze dostatecznie przygotowaną, z tym, że w ciągu roku uzupełni ona materiał lekcyjny. Młodzież była na różnym poziomie przygotowania. Zarówno absolwenci szkoły powszechnej, w której nie uczono należycie języka polskiego, historii i geografii jak też dawni wychowankowie kompletów, którzy mieli dłuższą przerwę w nauce, nie mówiąc już o repatriantach — wszyscy ci nie tworzyli jeszcze zespołów uczniowskich, których poziom odpowiadałby poziomowi odpowiedniej klasy. Ponad to rozporządzeniem władz w klasie drugiej znaleźli się obok siebie dawni uczniowie klasy pierwszej i absolwenci siódmej klasy szkoły powszechnej, którzy różnili się pod względem przygotowania w kilku przedmiotach nauczania. Zła ortografia i trudności w wysłowieniu się — to chyba jedna z bolączek, nad których usunięciem nauczyciele najbardziej pracowali.. Szczególnym zjawiskiem życia szkolnego była niedostateczna dyscyplina. Nie chodzi tu oczywiście o jakiś rygor wojskowy, o żelazną dyscyplinę, wyrażającą się w systemie nakazów i zakazów, ale po prostu — o normalny porządek szkolny, który jest znamieniem każdej instytucji wychowawczej. Młodzież przyszła do szkoły zbyt dojrzała życiowo, nie przyzwyczajona do systematycznej, planowej pracy. Tajne nauczanie miało w sobie posmak przygody. Graniczyło z wiadomym narażaniem się. Wybaczało się niepunktualność, usprawiedliwiało się nieobecność. W sześcio- ośmio- czy dziesięcio osobowej grupie inne stosowało się zabiegi wychowawcze aniżeli w gromadzie czterdziesto czy pięćdziesięcio osobowej. Młodzież starsza, która wróciła z obozów niemieckich, która aktywnie przeżyła powstanie, jakkolwiek rozumie doniosłość nauki i szkoły, nie może pogodzić się z pewnymi obyczajami życia szkolnego, które uważa za śmieszne bądź nie ważne w stosunku do wielkości przeżytych chwil. Jak tu zwalczać niepunktualność,, skoro środkom komunikacyjnym daleko do doskonałości a obowiązki rodzinne zmuszają młodzież do wyjątkowych zajęć. Jakże tu nie usprawiedliwić nieobecności, kiedy uczeń czy uczennica musieli być przy ekshumacji zwłok kogoś z bliskich, albo zajęci byli załatwianiem spraw mieszkaniowych.

Również i przygotowanie lekcyj do szkoły nie stało na właściwym poziomie. Nie było dostatecznej ilości podręczników, wielkich trudności nastręczała lektura domowa, ponieważ zdobycie powieści Prusa czy Żeromskiego w okresie, kiedy we wszystkich szkołach stanowiła ona przedmiot lekcji wymagało nie małych zdolności i dużo dobrej woli. A mimo wszystko szkoła starała się trudności te pokonywać i przyzwyczaić młodzież na nowo do szkoły i form jej towarzyszących. Część młodzieży przecież odwykła od systematycznej, ciągłej pracy szkolnej, część — szkoły polskiej wcale nie znała. A że wyniki tej pracy nie były najgorsze, okazało się na występach międzyszkolnych młodzieży podczas świąt 1-go i 3-go maja. Zarówno orkiestra jak i teatr międzyszkolny rozporządzające skromnymi środkami materialnymi pokazały starannie przygotowane rzeczy. To przyzwyczajanie młodzieży do życia szkolnego odbywało się przez ukazywanie jego atrakcyjności która wyrażała się także w tym, że pociąga ono bogactwem wzruszeń. Ważną rolę w życiu szkolnym odgrywały stowarzyszenia młodzieżowe: harcerstwo, Czerwony Krzyż, ZWM., OM. TUR, Wici. Źle jest jednak kiedy koła te nie współpracują ze sobą, ale rywalizują, co ujawnia się na przykład w wyborach do zarządu spółdzielni szkolnej, czy w redagowaniu gazetki. Wiele istniejących na terenie szkoły organizacji odbierać nawet może jednolity charakter szkole, której jako instytucji trudno jest brać udział w uroczystościach państwowych, ponieważ każda organizacja występuje oddzielnie pod własnym sztandarem. Ale nie to najważniejsze Niebezpieczne jest tworzenie się partyjnictwa wśród młodzieży. Nie bardzo uczeń drugiej klasy gimnazjalnej wie, dlaczego jest członkiem socjalistycznej organizacji TUR a nie ZWM i przeciwnie. Pozatem między harcerzami z jednej strony a ZWM i Omturowcami wytwarza się często brak wzajemnego zaufania, groźny dla wychowania społecznego i mądrego uświadomienia politycznego. Zły to symptom, kiedy na zebraniach ZWM nie ma Omturowców, a gazetkę ścienną chcą ZWM-owcy wydawać sami bez współpracy Omturu. Zwłaszcza szkodliwa się wydaje separacja od pozostałych organizacji harcerzy, których założenie wychowawcze nie różni się właściwie tak bardzo. Na tym odcinku praca wśród młodzieży wymaga rewizji. W okresie nawoływania do zgody i jedności, kiedy powszechne dążenia idą w kierunku znalezienia sposobów, jak należy ludzi łączyć, a nie dzielić, faktyczne rozdrobnienia organizacyjne młodzieży wypaczają ideę wychowania uświadomionego społecznie obywatela. A przecież wymienione organizacje nie obejmują całej młodzieży. Istnieje znaczna część młodzieży nie rozumiejąca współczesnych przemian społecznych i politycznych, a wychowana w tradycji pięknie sformułowanych ideałów, nie nauczyła się jeszcze afirmować nowej rzeczywistości, a wady jej widzieć w następstwach wojny i słabościach ludzkich. Tę młodzież, która z domu wynosi negatywny stosunek do aktualnych zjawisk, która dostrzega tylko zło w bolączkach codziennego życia, która niczemu nie dowierza, a we wszystkich objawach dodatnich znajduje podnietę do ironii i sarkazmu, tę młodzież, która jednak w powstaniu dawała dowody prawdziwego nieraz bohaterstwa, należy właśnie zmienić i wychować. A wychować ją można nie przy pomocy propagandy, bo ta ją rozdrażnia i śmieszy, ale wymową czynów dokonanych i prac spełnionych. Piękno demokratycznych ideałów pokazywać należy nie od strony białych lub niebieskich koszul z czerwonymi krawatami, ale od strony nowego stylu życia, w którym na pierwszym miejscu stoi dobro ogółu i serdeczna między ludźmi współpraca.

Młodzież ma w sobie ducha przekory, kieruje się porywem, działa na gorąco. Nic więc dziwnego, że często wyraża swe niezadowolenie nie dostrzegając istotnych przyczyn faktów dziejowych. Charakterystyczny objaw: domalowywanie korony do orła jako godła państwowego. Nie pomagają wyjaśnienia, że korona nie jest istotnym elementem, że orzeł piastowski, a nawet orzeł legjonów Piłsudskiego korony nie posiadał, że wreszcie sprawa nie została w ostateczny sposób rozstrzygnięta, a władze państwowe wychodzą prawdopodobnie z założenia, że korona nie odpowiada godłu republikańskiego ustroju. Młodzieży to nie przekonuje. Dla niej korona jest nierozerwalnie z orłem złączona, bo tak było przed wojną, w czasach, które ona jak i rodzice zwykli uważać za normalne. Najskuteczniejszą formą, ułatwiającą zrozumienie ducha nowych czasów i wniknięcie w istotę przebudowy społecznej w trudnym okresie powojennym, w okresie chaosu politycznego w Europie — to systematyczne i stałe pokazywanie prawdziwych, widocznych osiągnięć. Wycieczka na Śląsk, na Pomorze, przyjrzenie się odbudowującym się portom, fakt wykończenia mostu na Wiśle w ciągu jednego roku, podniesienie stopy życiowej rodziców przekonanie o pokoju na świecie, więcej dokona aniżeli propagandowe pogadanki nie zawsze na właściwym poziomie wygłaszane.

Trzecim wreszcie elementem życia szkolnego to nauczyciele. Słyszy się nieraz zarzut pod adresem nauczycielstwa, że nie potrafiło nadążyć za zmianami, jakie się w kraju dokonały, że nauczyciele, zwłaszcza szkoły średniej, są w przeważnej ilości konserwatywni. Jak się zatem przedstawia ogół nauczycielstwa w świetle doświadczeń ubiegłego roku? Nauczyciele w większości swojej to przede wszystkim ludzie serdecznie i mocno przywiązani do swojego zawodu. Przykłady nauczycielki, która w czasie zimy, gdy komunikacji jeszcze nie było, przybywała z dalekiego Czerniakowa na Żoliborz, na godzinę ósmą rano, aby wieczorem o szóstej powracać do domu, czy starego nauczyciela, byłego więźnia oświęcimskiego, który codziennie przyjeżdżał z Milanówka. Nauczycielki przyrody i fizyki wolny czas od zajęć poświęcały na szukanie tanich i dobrych mikroskopów. Nauczycielka polskiego zamieniała się w pośredniczkę dostarczającą uczennicom książek potrzebnych do lektury Dyrektorka gimnazjum wbrew zaleceniom lekarzy wcześniej opuściła łóżko, aby uczyć i czuwać nad organizacją szkoły. To chyba dowody więcej niż rzetelnego, bo ofiarnego stosunku do pracy. Przytoczone przykłady pokazują prawdziwe oblicze nauczycielstwa, które lubi swój zawód i mimo trudności mieszkaniowych, kłopotów rodzinnych, złych warunków materialnych z gorliwością wypełniało swój obowiązek. Prawda, że część nauczycieli, zwłaszcza ta, która kształciła się we Lwowie, bądź stamtąd pochodzi, nie może pogodzić się z pewnymi faktami historycznymi. Prawda, że kto przez dwadzieścia lat uczył według innych programów i założeń wychowawczych nie potrafi od razu przystosować się do wymagań nowej rzeczywistości.

Nie byłby dobry nauczyciel, który na zawołanie zmienia swe przekonania społeczne i polityczne. Nauczycieli charakteryzuje sceptycyzm. Nie mogę, powiadają jedni, wykrzesać z siebie prawdziwego entuzjazmu, kiedy rzeczywistość prowokuje nieraz do krytyki. Kto wie, mówią niektórzy, czy przeprowadzone reformy nie są słuszne, ale forma, w jakiej zostały one przeprowadzone, była niewłaściwa. Inni znowu uznając nawet wychowawczy program radykalnych partii politycznych wskazują na częste zjawisko rozbieżności między teorią i życiem, i to ich skłania do powątpiewania o prawdziwości głoszonych tez. I podobnie jak wartościowej młodzieży, tak i nauczycielstwa nie można pozyskać jedynie przez propagandę. Przekonać może do nowego ustroju państwowego jego widoczna wyższość w stosunku do przedwojennego, wielkość idei, w imię której trzeba ponosić duże nieraz ofiary.

Pisał kiedyś Stefan Żółkiewski o dwóch patriotyzmach: prawdziwym i fałszywym. Prawdziwy patriota to ten, kto kocha Polskę taką jaka jest, z jej wadami i troskami, ale pracuje dla Niej, ile sił starczy, by Ją uczynić bogatszą i piękniejszą. Fałszywy patriotyzm — to miłość Polski idealnej, wizyjnej, ale ucieczka przed rzeczywistością. Nauczyciele okazali w ubiegłym roku chyba dużo patriotyzmu właśnie prawdziwego, wyrażającego się w solidnej pracy szkolnej w trudnych materialnych warunkach. A że marzą sobie o Polsce lepszej i wspanialszej, gdzieby głoszone hasła rzeczywiście znalazły odbicie w życiu, to nie jest wcale fałszywy patriotyzm, ale wewnętrzna potrzeba tworzenia idealnych wzorów, które aktywizują codzienną robotę.

Zdzisław Libera

MARCEL PROUST

Przekład KAZIMIERZA KOSSOBUDZKIEGO

W poszukiwaniu zagubionego czasu

TOM VIII – CZAS ODNALEZIONY

Poniżej zamieszczony fragment przekładu „Czasu odnalezionego" Marcelego Prousta ukazuje nam postaci znane z poprzednich tomów cyklu, tłumaczonego przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Jak wiadomo, przekład „Czasu odnalezionego" dokonany w ramach wielkiej pracy Boya nad spolszczeniem powieści Marcelego Prousta, nie został opublikowany, a rękopis tego przekładu zaginął w Warszawie, w czasie wojny.

August Renoir — Dwie dziewczyny

ROZDZIAŁ III
(fragment)

Jedna z dam wyszła by udać się na inne przyjęcia, poza tym czekał ją jeszcze podwieczorek z dwoma królowymi. Znałem ją niegdyś, była to kokota na wielką skalę, księżna de Nissau. Pominąwszy fakt, że zmalała — co na skutek pochyłego trzymania przez nią głowy sprawiało wrażenie, iż stoi „jedną nogą w grobie" — nie wyglądała staro. Twarz jej wciąż była twarzą Marii Antoniny, o nosie austriackim, spojrzeniu pełnym słodyczy, zakonserwowaną, zabalsamowaną na liliowo warstwą wspaniale pomieszanych szminek. Mieniła się kolejno falami zakłopotania, że musi wyjść, czułości obiecującej powrót, to znowu chęcią wymknięcia się po cichu, zdradzając tym, jak bardzo jej zależy na owych zebraniach super-elity, gdzie ją oczekiwano. Zrodzona prawie że na stopniach tronu, trzykrotnie zamężna, przez długi czas zawdzięczała wystawny tryb życia i zaspakajanie tysiącznych kaprysów bogatym bankierom, których była utrzymanką; obnosiła teraz z uroczym spojrzeniem zdziwionych oczu uszminkowaną twarz i suknię koloru malwy, odrobinę przyćmione wspomnienie swej bogatej przeszłości.

Skłoniłem się, gdy, wymykając się po angielsku, przechodziła w moim pobliżu, poznała mnie, uścisnęła mi dłoń i wlepiła we mnie krągłe, fijołkowe źrenice, a mina jej wyrażała: „Dawnośmy się nie widzieli, musimy sobie kiedyś na ten temat porozmawiać". Uścisnęła mi rękę z całej siły, nie przypominając już sobie dokładnie, czy owego wieczoru, gdy po przyjęciu u diuszesy de Guermantes odwoziła mnie w swym powozie, doszło między nami do czegoś, czy też nie? Na wszelki wypadek starała się wyrazem twarzy czynić aluzję do czegoś, czego nie było; przychodziło jej to z łatwością, bo równie czułą minę przybierała na widok ciastka z poziomkami i zmieniała się w żałobną wdowę, gdy musiała, choćby na krótko, wyjść przed końcem koncertu. Niepewna co do przygody ze mną, przelotnie ściskała mi dłoń i nie odzywała się ani słówkiem. Patrzyła tylko, jak gdyby mówiąc: „Jak to już dawno!" — tam przesuwali się kolejno wszyscy jej mężowie, mężczyźni których była utrzymanką, obie wojny, a gwiaździste jej oczy, podobne do wyrytego w opalu zegara astronomicznego, znaczyły kolejno wszystkie uroczyste, a jakże odległe godziny przeszłości, jaką odnajdywała w chwili, gdy mówiła „dzieńdobry", które było zawsze jednymi wielkimi przeprosinami. Następnie porzucając mnie, jęła posuwać się ku drzwiom, nie chcąc by się nią już dłużej zajmowano i pragnąc mi okazać, iż jeśli nie rozmawiała ze mną to tylko z braku czasu, mało tego, że musi jeszcze nadrobić czas zużyty na uściśnięcie mi dłoni, jeśli nie chce spóźnić się na intymny podwieczorek en deux z królową hiszpańską. Koło samych drzwi nabrała wyścigowego wprost tempa. A przecież biegła do swego własnego grobu.

Podczas tego słuchano jak księżna de Guermantes powtarza rozegzaltowanym, sepleniącym na skutek sztucznej szczęki głosem: „O, to, to! Stworzymy klan! Stworzymy klan! Uwielbiam młodość, tak inteligentną, tak żywiołową! Ach! Cóż z pani za muzyczka!" Mówiła, a ciężki jej monokl tkwił w okrągłym, napoły rozbawionym, napoły zawstydzonym oku, jakgdyby tłumaczyła się, że nie jest dłużej w stanie podtrzymywać wesołości, ale że jest zdecydowana do końca „brać udział", „tworzyć klan".

•

Usiadłem obok Gilberty de Saint-Loup. Mówiliśmy wiele o Robercie, przy czym Gilberta odzywała się o nim z takim szacunkiem jak gdyby był wyższą istotą i zależało jej na tym, by mi okazać, że go uwielbia i rozumie. Przypomnieliśmy sobie, do jakiego stopnia dawne jego poglądy na sztukę wojowania (bo często je wypowiadał, zarówno wobec niej w Tansonville, jak wobec mnie w Doncières i później) sprawdziły się wielokrotnie podczas ostatniej wojny. „Nie umiem pani wprost wyrazić, jak bardzo uderzało mnie w czasie wojny a nawet jeszcze teraz, każde wypowiedziane niegdyś przez niego w Doncières zdanie. W ostatnich swych słowach, przed naszym rozstaniem na zawsze twierdził, iż oczekuje po Hindenburgu, generale w typie napoleońskim, bitwy w stylu napoleońskim, to znaczy takiej, która wbije klin między siły sprzymierzone, być może, dorzucił, między Anglików i nas. Otóż w rok zaledwie po śmierci Roberta, krytyk Henryk Bidou, dla którego zmarły miał wielki podziw i który wywierał wyraźny wpływ na jego poglądy dotyczące wojny, wypowiedział zdanie, że ofensywa Hindenburga w marcu 1918 roku była „bitwą między wojskiem skupionym w jednym miejscu a dwoma wojskami rozciągniętymi w linię, manewr zatem, który powiódł się przyszłemu cesarzowi w 1796 roku w Apeninach, a zawiódł w 1815 roku w Belgii". Kiedyś Robert przyrównał przy mnie bitwy do utworów literackich, gdzie nie zawsze wiadomo co autor właściwie chce powiedzieć i gdzie sam zmienia często plan dzieła już w stanie jego powstawania. Interpretując w ten sposób ową ofensywę niemiecką 1918 roku, Robert niewątpliwie rozszedłby się w poglądach z panem Bidou. Lecz zdaniem innych komentatorów, chwilowe sukcesy Hindenburga w natarciu na Amiens, a następnie we Flandrii, wypadkiem uczyniły z Amiens i Boulogne kolejne cele uderzeń, których by przedtym on sam nie wyznaczył. A ponieważ każdy ma prawo przetwarzać dzieło po swojemu, jedni chcieliby widzieć w owej ofensywie zapowiedź piorunującego marszu na Paryż, inni — ślepe uderzenia rozjuszonego warchlaka, zmierzające co najwyżej do zniszczenia armii angielskiej. A jeśli nawet rozkazy wydane przez wodza zaprzeczają tej czy innej koncepcji, komentatorom zawsze pozostaje jeszcze możność zastosowania słynnego powiedzenia Mounet-Sullyego, który na gorące sprzeciwy Coquelina, iż „Mizantrop" nie jest bynajmniej utworem smutnym ani dramatycznym, jak go tamten chciał grać, (ponieważ według świadectw współczesnych Molier interpretował „Mizantropa" na wesoło i budził śmiech na widowni), rzekł z całą powagą: „No cóż, Molier się po prostu mylił".

„Czy przypomina pan sobie, rzekła Gilberta, co mówił o lotnictwie? Miał takie ładne powiedzenia — iż trzeba, by każda armia była stuokim Argusem. Niestety, nie doczekał się urzeczywistnienia swoich słów". Dlaczego, odparłem, przecież już w bitwie nad Sommą, mógł widzieć, jak zaczęło się od oślepienia nieprzyjaciela, od wydarcia oczu przez zniszczenie jego samolotów i balonów obserwacyjnych?" „To prawda!" A ponieważ żyjąc już wyłącznie życiem intelektualnym stała się odrobinę pedantką, dorzuciła: „Uznawał jednak również i dawne sposoby. Czy pan wie, że wyprawy ekspedycyjne do Mezopotamii podczas ostatniej wojny (musiała widocznie czytywać w swoim czasie artykuły Brichota na ten temat), niezmiennie przywodzą na myśl odwrót Ksenofonta? W marszu między Tygrysem a Eufratem dowództwo angielskie posługiwało się „bellonami", długimi i prostymi łodziami, gondolami tego kraju, jakimi posługiwali się już najdawniejsi Chaldejczycy". Słowa te dały mi odczuć owo zastygnięcie przeszłości, która w pewnych miejscach, na skutek specyficznego bezwładu, nieruchomieje tak doskonale, iż odnajdujemy ją w stanie pierwotnym. I ze swej strony przyznaję, że rozmyślając o mojej lekturze w Balbec, w pobliżu Roberta, wzruszyłem się wielce widząc — jakgdybym na wsi francuskiej odnalazł ślady okopu pani de Sévigné — wyłaniającą się ponownie na Wschodzie w związku z oblężeniem Kout-el-Amara (Kout znaczy emir, tak jak dzisiaj mówimy Vaux-le-Vicomte i Boilleau-l'Eveque, powiedziałby proboszcz z Combray, gdyby jego głód etymologiczny rozciągnął się i na języki wschodnie), obok Bagdadu ową nazwę Bassory, o której tyle się mówi w Baśniach z Tysiąca i Jednej Nocy, i dokąd zawsze przybywa z Bagdadu by wsiąść na okręt, lub w drodze do Bagdadu po swej podróży morskiej, na długo przed generałem Townsendem, w epoce Kalifów, Sindbad Żeglarz.

„Zaczynam dostrzegać jeszcze jedno oblicze wojny, rzekłem, a mianowicie, że jest w niej coś ludzkiego, rozgrywa się jak miłość czy nienawiść, że może być opowiedziana jak powieść i że jeśli ten czy ów powie, iż strategia jest gałęzią nauki, nic to jeszcze nie pomoże do zrozumienia wojny, bo wojna nie jest sprawą strategii. Nieprzyjaciel tak samo nie zna naszych planów, jak my nie wiemy do jakiego celu dąży kochana przez nas kobieta; planów tych zresztą sami może nie znamy? Czy w marcu 1918 roku celem Niemców było wzięcie Amiens? Nie wiemy. Być może, że i oni tego nie wiedzą, a tylko fakt posunięcia się wojsk na zachód, w stronę Amiens, zdeterminował plan niemiecki. Czy na to, by uznać wojnę za coś naukowego, trzeba ją jeszcze odmalowywać, jak Elstir odtwarzał morze, w innym ujęciu i wychodzić z mrzonek i wierzeń powoli rozwiewających się, niczym dzieje jakiegoś życia, skreślone ręką Dostojewskiego? Zresztą jest już niezbitym pewnikiem, iż wojna ma raczej coś wspólnego z medycyną niż ze strategią, ponieważ zdarzają się w jej trakcie wydarzenia nieprzewidziane w rodzaju

Edward Manet — Jeanne

Rewolucji Rosyjskiej, których przezorny klinicysta winien unikać".

Gilberta cały czas mówiła o Robercie z szacunkiem, szacunek ten jednak kierowany był raczej w stronę mego dawnego przyjaciela niż jej zmarłego męża. Zdawała się mówić: „Wiem, jak go pan ubóstwiał. Niech mi pan wierzy, że potrafiłam w nim ocenić ową duchową wzniosłość". Jednak możliwe, że nie przywoływana już teraz z pewnością wpomnieniami miłość, była jeszcze daleką przyczyną pewnych odchyleń w obecnym życiu Gilberty. I tak na przykład ostatnio nieodłączną jej przyjaciółką była Andrea. A chociaż ta, dzięki talentowi męża i własnej inteligencji zaczęła powoli przenikać do środowiska, co prawda jeszcze nie Guermantes'ów, ale w każdym razie o całe niebo elegantszego od tego, do jakiego niegdyś uczęszczała, panowało ogólne zdziwienie, że ją właśnie upatrzyła sobie markiza de Saint-Loup na najbliższą przyjaciółkę. Fakt ten zdawał się znamionować u Gilberty pociąg do tego, co zwała życiem artystycznym, a co było prawdziwym upadkiem towarzyskim. Takie wyjaśnienie jest może jedynie prawdziwe. W myśli mojej jednak błąkało się i inne, oparte na spostrzeżeniu, że obrazy gdzieś razem widziane, są zwykle odblaskiem lub tym czy innym rezultatem, różnym, jakkolwiek dość symetrycznym, pierwotnego zespołu obrazów ogromnie od tamtych odległych. Rozmyślałem nad tym, iż jeśli wieczorami widywano zawsze razem Andree, jej męża i Gilbertę, działo się tak dlatego, że wiele lat wprzódy można było widzieć przyszłego męża Andrei „chodzącego" z Rachelą, by ją następnie porzucić dla Andrei. Gilberta żyła wówczas prawdopodobnie w zbyt towarzysko biorąc, odległym świecie i o niczym mogła nie wiedzieć. Dopiero później, gdy tamta na tyle się podciągnęła, a sama Gilberta „opuściła', iż mogły dojrzeć jedna drugą, Gilberta niewątpliwie dowiedziała się o wszystkim. I wówczas to musiała na nią wywrzeć wielkie wrażenie kobieta, dla której Rachela została porzuconą przez mężczyznę niewątpliwie czarującego, jeśli Rachela wolała go od Roberta.

Tak to, być może, widok Andrei przypomniał Gilbercie owo wielkie przeżycie, jakim była jej dziewczęca miłość do Roberta i powodował również ów wielki szacunek dla Andrei, w której wciąż tak bardzo był rozmiłowany mężczyzna kochany przez Rachelę; a o ileż znowu według mniemania Gilberty, Rachela bardziej była kochana przez Roberta od niej samej. A może odwrotnie, wspomnienia te nie grały żadnej roli w szczególnym upodobaniu sobie przez Gilbertę tego artystycznego stadła i należałoby patrzeć na to pod kątem zdarzającego się częstokroć u kobiet z towarzystwa rozkwitu upodobań do kształcenia się z jednoczesnym staczaniem się w dół. Gilberta, być może, równie mocno zapomniała o Robercie, jak ja o Alberty ie i jeśli nawet wiedziała, że artysta po zucił niegdyś Rachelę dla Andrei, patrz ąc na nich, o tym nie myślała, bo wydarzenie to nie odgrywało najmniejszej roli w jej stosunku do nich. O prawdziwości, a nie tylko prawdopodobieństwie mej pierwszej tezy, mogliby zaświadczyć jedynie zainteresowani, gdyby mogli w swe wyznanie włożyć całą przenikliwość i szczerość. Cóż, kiedy pierwszą w takich zeznaniach spotyka się rzadko, a drugą — nigdy.

„Co się stało, że bywa pan na takich tłocznych przyjęciach?" spytała mnie Gilberta. „Nie wyobrażałam sobie, że mogę pana spotkać w podobnej mordowni. Zawsze miałam inne o panu mniemanie. I raczej wszędzie spodziewałabym się pana, niż na jednej z takich tra-la-la mojej ciotki, właśnie dlatego, że jest tu ciotka", dorzuciła filuternie, bo zostawszy panią de Saint-Loup, nim pani Verdurin weszła do rodziny, uważała się za Guermanteskę z krwi i kości i dotknięta była mezaliansem swego wuja z panią Verdurin, co było często przedmiotem kpin w rodzinie jej męża, gdy takie same przekpinki z mezaliansu, jaki popełnił Saint-Loup żeniąc się z nią, były czynione poza jej plecami. Tym większą zresztą czuła niechęć do tej przyszywanej ciotki, iż księżna de Guermantes, przez pewnego rodzaju perwersję popychającą ludzi inteligentnych do wyłamywania się z obyczajowych ramek, jak również przez naturalną ludziom starszym potrzebę wspomnień, mówiąc o Gilbercie, celem nadania swej świeżej wytworności pewnego perspektywicznego tła, lubiła używać wyrażenia: Muszę pani powiedzieć, że to dla mnie nic nowego, doskonale znałam matkę tej małej; proszę pamiętać, że była to wielka przyjaciółka mojej kuzynki Marsantes'owej. I właśnie u mnie poznała przyszłego ojca Gilberty. A co do tego biedaka Saint-Loup, to jeszcze przed tym znałam całą jego rodzinę; niegdyś w Raspalière przyjaźniłam się bardzo z jego rodzonym wujem". Słysząc to ludzie mówili mi: „Widzi pan, Verdurinowie nie mieli nic wspólnego z cyganerią, przez cały czas przyjaźnili się z rodziną de Saint-Loup". A tylko ja sam, dzięki memu dziadkowi, wiedziałem, że Verdurinowie rzeczywiście nie byli cyganerią. Ściśle jednak rzecz biorąc, znali Odettę. Lecz równie łatwo jest układać historyjki z przeszłości, której nikt nie zna, jak dać opis podróży po krajach, których nikt nie zwiedzał. „Ponieważ, jak się okazuje, opuszcza pan od czasu do czasu swą Wieżę z Kości Słoniowej, zakończyła rozmowę Gilberta, odpowiadałyby może panu bardziej zebranka u mnie, gdzie zaprosiłabym same dobrane towarzystwo. Takie wielkie kobyły, to nie dla pana. Widziałam, że rozmawiał pan przed chwilą z moją ciotką Orianą, nie zaliczającą się chyba, mimo wielkich jej walorów, do elity intelektualnej?" Nie mogłem wprowadzać Gilberty w tok myśli snujących mi się po głowie od godziny, ale uważałem, że biorąc rzecz z punktu widzenia czystej rozrywki, mogłem się odświeżyć w jej towarzystwie, podczas, gdy rozmowy o literaturze z tąże diuszesą czy panią de Saint-Loup wcaleby nie były dla mnie zabawne. Jedno jest pewne, że od jutra postanowiłem, tym razem celowo, powrócić do samotności. I nawet u siebie nie przyjmowałbym nikogo w trakcie pracy, bo obowiązek mój wobec dzieła był większy od obowiązku grzeczności czy nawet dobroci. Ci, którzy uważając mnie za uzdrowionego, a nie widząc mnie od dawna, przyszliby mnie odwiedzić, niewątpliwie chcieliby się bardzo ze mną zobaczyć. Nastawaliby, przychodząc wówczas, gdy praca ich dni, ich życia byłaby zakończona, potrzebując mnie tak samo, jak potrzebowałem niegdyś obecności Saint-Loup; dlatego, że jak to już kiedyś zauważyłem w Combray, gdy rodzice robili mi wymówki w chwili uczynienia przeze mnie w myśli najchwalebniejszych postanowień poprawy, wewnętrzne zegary nasze nastawione są na rozmaite godziny i kiedy jeden wydzwania porę spoczynku, na drugim widnieje godzina pracy, gdy zegar sędziego pokazuje godzinę kary, u skazańca dawno już wybiła godzina skruchy i wewnętrznej doskonałości. Lecz szukającym mnie lub pragnącym widzieć się ze mną miałbym odwagę odpowiedzieć, iż mam właśnie z samym sobą spotkanie nadzwyczajnej wagi, dotyczące rzeczy zasadniczych, do których bez zwłoki muszę się zabierać! Jednak wielu ludziom, chociaż między naszym ja prawdziwym a tym drugim, poza jednością ciała i nazwy mało jest wspólnego, złożenie w ofierze łatwiejszych zobowiązań czy tylko przyjemności wydaje się egoizmem. A czyż nie po to właśnie żyłem z dala od tych, którzy narzekali, że mnie oglądać nie mogą, by się nimi zajmować i to tym głębiej, im mniej z nimi przebywałem, by próbować ukazać ich im samym, by ich urzeczywistnić? Po co miałem tracić lata całe na dotykanie echa ich jeszcze świeżych słów tonem równie pusto brzmiącym — moich, dla jałowej przyjemności kontaktów towarzyskich, wykluczających możność prawdziwego przenikania w głąb? Czy nie lepiej było próbować wytyczyć krzywą i wyprowadzić prawo z ludzkich gestów, słów, życia i charakterów? Niestety, musiałbym wówczas walczyć z ową nawyczką przyoblekania się w cudzą skórę, co jeśli nawet pomaga poczęciu jakiegoś dzieła, opóźnia jego wykonanie. Bo przez daleko posuniętą grzeczność, jesteśmy popychani nie tylko do poświęcenia naszych przyjemności, ale również naszego obowiązku, kiedy obowiązek ten, jakiby nie był (chociażby dla kogoś niezdatnego do służby liniowej obowiązek pozostania na tyłach, jeśli może tam się na coś przydać), wydać się może, chociaż tak nie jest, naszą przyjemnością. Daleki od wyrzekania na życie bez przyjaciół i gawęd z nimi, od czego nie mogą się ustrzec i najwięksi ludzie, zdawałem sobie sprawę, że porywy egzaltowanej przyjaźni i siły na to zużyte są rodzajem ślepych drzwi prowadzących do jałowego w gruncie rzeczy, szczególnego rodzaju przyjaźni i zawracają z drogi prawdy, na jaką zdolne byłyby nas wyprowadzić. Gdyby jednak wypoczynek i towarzystwo okazały się konieczne, sądzę, że zamiast rozmów intelektualnych, niezbędnych dla pisarzy według mniemania światowców, dla wyobraźni mojej przypominającej słynnego konia odżywiającego się wyłącznie różami, niewątpliwie lepszym pokarmem byłyby lekkostrawne miłostki z zakwitającymi dziewczętami. I jeśli ogarniała mnie nagle tęsknota, to za tym, o czym marzyłem w Balbec, gdy przed oczyma moimi przesuwały się na tle morza postacie Albertyny, Andrei i ich przyjaciółek. Niestety jednak, ani marzyć już było o znalezieniu tych, tak gorąco upragnionych dziewcząt. Działanie czasu, widoczne na postaciach oglądanych dzisiaj, nie wyłączając Gilberty, odbiło się niewątpliwie i na pozostałych przy życiu i uczyniło z nich, jakby uczyniło z Albertyny, gdyby dożyła, kobiety zupełnie nie podobne do kobiet pamiętanych przeze mnie. Sięgając do nich myślą, cierpiałem, bo czas zmieniając postacie ludzkie nie zmienia zachowanych po ludziach obrazów. Nic boleśniejszego nad owo przeciwstawienie zmiany człowieka niezmienionemu o nim wspomnieniu, jeśli rozumiemy, że to co pozostało świeżym w naszym umyśle, nie zachowało nic z tej świeżości w życiu; jeśli pojmujemy, że nie możemy zbliżyć się nazewnątrz do czegoś, co wewnątrz nas wydaje się tak pięknym i wzbudza pożądanie, czysto zresztą osobiste, ujrzenia tego na nowo. I czułem, że gwałtowne pożądanie wzbudzone przez pamięć widzianych niegdyś dziewcząt, mogłem zaspokoić jedynie pod warunkiem znalezienia kogoś w tym samym wieku, a więc kogoś zupełnie innego. Podejrzewałem często, że to, co wydaje się wyłącznie cechą pożądanej osoby, nie należy do niej. W pełnej mierze udowodnił mi to dopiero czas, gdy samorzutnie, po latach dwudziestu, chciałem szukać zamiast dawnych dziewcząt, dziewcząt posiadających młodość tamtych. Jest to nie tylko obudzenie się naszego pożądania cielesnego, nic nie mające zresztą wspólnego z materią, bo nie zdające sobie sprawy z minionego czasu. Zdarzało się nieraz, iż pragnąłem cudu, by weszły nagle babka z Albertyną, i wbrew oczywistości pozostały żywe. Wierzyłem, że je widzę, sercem się ku nim wyrywałem. A zapominałem tylko o jednym: że gdyby Albertyna żyła dzisiaj, byłaby podobna do pani Cottard z czasów, gdy ją widywałem w Balbec, że babka moja miałaby obecnie ponad dziewięćdziesiąt pięć lat i twarz jej nie byłaby ową piękną twarzą, jaśniejącą spokojem i tryskającą radością z jaką sobie ją jeszcze teraz wyobrażałem równie dowolnie, jak dowolnym jest przyprawianie brody Bogu-Ojcu, lub odtwarzanie w XVII w. bohaterów Homera w dziwacznych strojach dworskich zacierających ich starożytne pochodzenie. Spojrzałem na Gilbertę lecz nie pomyślałem: „Chciałbym ją jeszcze raz zobaczyć" tylko powiedziałem, że sprawiłaby mi wielką radość, zapraszając jakieś młode dziewczyny, przyczym pragnąłem jedynie, by potrafiły wzbudzić we mnie dawne moje marzenia i smutki, może dzień jakiś nieprawdopodobny, jakiś niewinny pocałunek. Jak Elstir lubił patrzeć na tycjanowskie piękno wcielone w postać własnej żony i często odtwarzane przez niego w obrazach, tak ja rozgrzeszałem pewnego rodzaju egoizmem estetycznym swój pociąg do pięknych kobiet, mogących przyczynić mi cierpienia i odczuwałem bałwochwalcze wprost uczucie dla Gilbert, diuszes de Guermantes czy Albertyn, jakie mogłem jeszcze w przyszłości napotkać i które, jak mi się zdawało, mogłyby być mi natchnieniem, niczym rzeźbiarzowi przechadzającemu się pośród pięknych — rzeźby Antyku. Dopuszczalnym jednak było również założenie, że przed pojawieniem się każdej z nich, już istniał we mnie pociąg do tajemniczości w jakiej się następnie pławiły i że dlatego zamiast prosić Gilbertę o zaznajomienie mnie z dziewczynami, lepiejbym zrobił jadąc do takich miejsc, gdzie mnie nic z nimi łączyć nie będzie, gdzie między nimi a mną czułoby się coś nieprzekraczalnego, gdzie na plaży, o dwa kroki od idących do kąpieli, czujemy się przedzieleni niemożliwością. W ten sposób moje umiłowanie tajemniczości mogło kolejno ogarniać Gilbertę, diuszesę de Guermantes, Albertynę i tyle innych. Nie ulega wątpliwości, nieznane i wręcz niepoznawalne zmieniało się w powszednie, znajome, obojętne lub bolesne, zachowało jednak coś ze swego uroku. I mówiąc prawdę, niczym na owych reklamowych kalendarzykach wtykanych nam przez sprzedawcę, nie było roku, na którego tytułowej stronie lub wsunięty między jego dni nie widniał obraz w owym okresie pożądanej przeze mnie kobiety; obraz tym dowolniejszy, że kobiety tej mogłem wcale na oczy nie widzieć, jak to miało miejsce na przykład z pokojówką pani Putbus, z panną Orgeville lub z nazwiskiem jakiegoś dziewczęcia wyczytanym w dziennikarskiej kronice towarzyskiej spośród wielu nazwisk „walcujących", pełnych uroku panien. Marzyła mi się piękna, byłem w niej rozkochany i nadawałem idealny kształt jej ciału, występującemu na plan pierwszy w krajobrazie prowincji, gdzie jak wyczytałem w Kronice Zamkowej znajdowały się jej rodzinne dobra. Jeśli kobiety te znałem, krajobraz co najmniej się podwajał. Każda z nich wystrzelała z innego punktu mego życia, gdzie istniała niczym opiekuńcze bóstwo miejscowe, najpierw pośród jednego z owych śnionych przeze mnie krajobrazów, których siatka pokrywała moje życie i gdzie przywykłem je sobie wyobrażać, a następnie patrząc od strony wspomnienia, otoczona okolicami, gdzie ją znałem, a które przypominała mi, będąc z nimi związana; bo jeśli życie nasze jest włóczęgowskie, pamięć nasza jest domatorką; wspomnienia nasze przyczepione do miejsc, od których nieustannie odfruwamy, odrywając się bez skutku, prowadzą wciąż żywot domatorek, jak owi miejscowi znajomi, których podróżny pozostawia opuszczając miasto; zakończą oni swój dzień i żywot jak gdyby był jeszcze z nimi u stóp kościoła, u drzwi domu, pod drzewami podwórza. Do tego stopnia, że cień Gilberty kładł się nie tylko przed progiem kościoła Ile-de-France, gdzie sobie wyczarowywałem jej postać, ale przedłużony padał w stronę Méséglise, na aleję parku pani de Guermantes, na mokrą drogę o brzegach zarosłych kępami fioletowo-czerwonych kwiatów, lub też na złoty błysk porannego chodnika paryskiego. Lecz i tej postaci wyczarowanej ze wspomnienia a nie z pożądania, było nie dosyć. Bo każdą z nich przecież znałem w przeróżnych wznowieniach i czasach, gdzie każda kobieta różniła się od swego poprzedniego ja i gdzie sam byłem kim innym, kąpiąc się w marzeniu innej barwy. Otóż prawo rządzące co roku mymi marzeniami gromadziło teraz wokół nich wspomnienia kobiety znanej wówczas przeze mnie, tak naprzykład wspomnienia z dzieciństwa dotyczące diuszesy de Guermantes, siłą ciążenia tłoczyły się wokół Combray, a wszystko co miało wspólnego z diuszesą de Guermantes, zapraszającą mnie przed chwilą na obiad ześrodkowywało się koło całkiem innego uczucia, gdyż wiele było diuszes de Guermantes, tak jak od czasu „różowej pani" wiele było pań Swann poprzedzielanych bezbarwnym eterem lat, eter ów równie przeszkadzał mi przeskoczyć od jednej do drugiej, jak eter wszechświata nie puściłby mnie z jednej planety na drugą. Nie tylko oddzielonych ale i różnych, przybranych mymi marzeniami z całkiem innych epok, niczym odrębne dla każdej planety gatunki roślin; różnych do tego stopnia, iż rozmyślając nad niemożebnością przyjęcia zaproszeń na obiad zarówno od pani de Forcheville jak i od pani de Guermantes, nie byłem w stanie, gdyż przeniosłoby mnie to w całkiem różny świat, połączyć pani de Guermantes z diuszesą de Guermantes, potomkinią Genowefy Brabanckiej, oraz pani de Forcheville z „różową panią", dopiero człowiek świadomy, tkwiący we mnie, potwierdził ową łączność z autorytetem uczonego, wyjaśniającego, iż mgławica jest wynikiem rozpadu jednej tylko gwiazdy. Taka Gilberta, którą przecież zupełnie bezwiednie prosiłem o wyczarowanie mi przyjaciółek podobnych do niej samej sprzed lat, była dla mnie już nikim więcej, jak panią de Saint-Loup. Patrząc na nią nie myślałem zupełnie o roli, jaką odegrało w mej miłości, zapomnianej zresztą również i przez nią, moje uwielbienie Bergotte'a, stał się on dla mnie teraz tylko autorem i nie przypominałem sobie (najwyżej od czasu do czasu i zupełnie oderwanie) emocji, jakie przechodziłem poznając tego człowieka, rozczarowanie i wielkie wrażenie odniesione później podczas rozmowy prowadzonej z nim w „białym" salonie,

pełnym fiołków, gdzie tak wcześnie wniesiono tyle lamp i poustawiano na przeróżnych konsolach. Wszystkie te wspomnienia, składające się na pierwszą pannę Swann w rzeczywistości pozostawały odgrodzone od Gilberty obecnej i mocą przyciągania innego świata trzymane zdala, wokół jakiegoś zdania Bergotte'a z którym zlewały się w jedno ciało skąpane w zapachu tarniny. Dzisiejsza fragmentaryczna Gilberta z uśmiechem wysłuchała mej prośby. Poczym zastanawiając się z poważnym wyrazem twarzy zdawała się szukać czegoś w pamięci. Co do mnie byłem zadowolony, bo dzięki temu nie zwróciła wcale uwagi na stojącą w pobliżu grupkę osób, której widokiem z pewnością nie byłaby zachwycona Wśród nich można było dojrzeć diuszesę de Guermantes prowadzącą ożywioną rozmowę z jakimś ohydnym, starym babskiem, którego ani rusz nie mogiem poznać: o kobiecie tej nic nie wiedziałem. „Zabawne zobaczyć tutaj Rachelę, co?" rzucił mi po cichu przechodzący właśnie Bloch. Magiczny dźwięk tego imienia przerwał odrazu ów czar przemieniający dotychczas utrzymankę Saint-Loup w nieznaną postać plugawej staruchy, którą poznałem teraz doskonale. Powiedziałem gdzieindziej, że wystarczy wymienić mu nazwisko ludzi, o twarzach jak mi się zdawało nieznanych, by czar prysnął i „znanie" zostawało przywrócone. Jednak był ktoś, kogo mimo wymienienia nazwiska, poznać nie mogłem i myślałem o zbiegu nazwisk, ponieważ nie było najmniejszej łączności z kimś, kogo nie tylko że ongiś znałem, ale przed paroma laty ponownie spotkałem. A jednak był to on, siwy teraz i gruby; brak wąsów wystarczył, by całkowicie zatracił swą osobowość. Powracając do sprawy Racheli, diuszesa de Guermantes rzeczywiście rozmawiała z Rachelą przemienioną w słynną obecnie aktorkę, zaproszoną na przyjęcie celem wygłoszenia poezji Musseta i wierszy La Fontain'a. Otóż obecność Racheli w żadnym wypadku nie mogła sprawić przyjemności Gilbercie; mnie przygnębiła jeszcze na dobitkę wiadomość, że ona recytować ma wiersze, a poza tym przykro było mi naocznie stwierdzić jej zażyłość z diuszesą. Ta ostatnia od dawna świadoma swej czołowej pozycji w towarzystwie paryskim (nie zdając sobie sprawy, że taka hierarchia tkwi wyłącznie w głowach ludzi, chcących w to wierzyć i że z drugiej strony, ponieważ nie widywano jej nigdzie, nie czytano jej nazwiska w rubrykach „Z Życia Towarzyskiego", wielu „nowych" sądziło, że naprawdę nie posiada żadnej pozycji), widywała „śmiertelnie nudny" Faubourg Saint-Germain wyłącznie w jak najrzadszych chwilach wciąż odkładanych wizyt, wzamian czego, jako odszkodowanie, przychodziła jej chętka zjeść sobie śniadanko z jedną czy drugą aktorką, za jaką w danej chwili przepadała.

Diuszesa w obawie awantury ze strony pana de Guermantes, nie śmiała zadawać się ani z Balthy ani z Mistinguett, lecz za to wyraźnie była zaprzysięgłą przyjaciółką Racheli. Skutkiem tego młodsze pokolenie orzekło, iż mimo utytułowanego nazwiska niewątpliwie wywodzić się musi z półświatka i nigdy nie miała nic wspólnego z towarzyską śmietanką. Wprawdzie pani de Guermantes zależało na tym, by gościć u siebie na śniadaniu paru monarchów, o których toczyła walkę z dwoma jeszcze arystokratkami, lecz z jednej strony monarchowie przychodzą rzadko oraz zadają się chętnie z ludźmi gorszego pochodzenia, a z drugiej strony diuszesa przez guermantesowski szacunek dla starodawnego ceremoniału (bo mimo, że ludzie dobrze ułożeni nudzili ją, sama jednocześnie przywiązywała wagę do dobrego wychowania), kazała oznajmiać: Jego Królewska Mość poleciła diuszesie de Guermantes, Jego Królewska Mość raczyła itd. Młode pokolenie nie znając tych etykietalnych formułek, na ich podstawie właśnie zaprzeczało księżnej-diuszesie należnej pozycji towarzyskiej. Patrząc oczami pani de Guermantes, zażyłość jej z Rachelą mogła oznaczać, iż myliliśmy się, uważając panią de Guermantes za obłudnicę i kłamczynię w ocenianiu przez nią wytworności, jak również myśląc, że odmawiała zaproszeń pani de Sainte-Euverte przez zwykły snobizm, gdy tymczasem była po prostu zbyt inteligentna na to towarzystwo; uważaliśmy ją za głupią tylko dlatego, iż markiza nie mogąc osiągnąć celu wciąż dawała do zrozumienia, że jest snobką. Zażyłość ta mogła jednak oznaczać również i to, że w gruncie rzeczy inteligencja diuszesy była małego kalibru, i późnym wieczorem, gdy była zmęczona towarzystwem, pożądała gwałtownie pewnych, równie małego kalibru zaspokojeń; wypływało to u niej z całkowitego nieuświadamiania sobie prawdziwych zadośćuczynień intelektualnych oraz ze skłonności do nagłych zachcianek, każących pięknym kobietom, mówiącym sobie: „jakie to będzie zabawne", kończyć wieczór właśnie jak najnudniej w świecie, budząc „na siłę" kogoś, komu właściwie nie ma się nic do powiedzenia, by postawszy chwilę przy łóżku w wieczorowym okryciu i stwierdziwszy, że jest już bardzo późno, udać się wreszcie samej na spoczynek.

Należy dodać, iż żywa niechęć, jaką zmienna w swych sympatiach diuszesa odczuwała ostatnio do Gilberty, mogła przyczyniać się jednocześnie do wzrostu przyjemności w przyjmowaniu u siebie Racheli; to pozwalało jej coraz szerzej głosić jedną z maksym Guermantesów, że są zbyt liczni by mieli ujmować się jedni za drugimi (zbyt liczni wprost, by nosić po wszystkich żałobę); owo niezależne „mnie nic do tego" przydało się w postępowaniu z panem de Charlus; ten, gdyby go tylko słuchano, potrafiłby wszystkich skłócić ze sobą. Wracając do Racheli, jeśli robiła wszystko by związać swoje nazwisko z nazwiskiem diuszesy de Guermantes (czego diuszesa nie umiała wyciągnąć spod pozornych lekceważeń, celowych niegrzeczności, podniecających ją tylko do gry i stwarzających w jej umyśle sugestywny obraz aktorki bez cienia snobizmu), ulegała urokowi, jaki z reguły wywierają w pewnej chwili na zaprzysięgłej cyganerii ludzie z towarzystwa; jednocześnie ta sama cyganeria w równej mierze wywiera urok i na światowcach; podwójny wpływ odpowiadający wzajemnej ciekawości i pragnieniu zawarcia sojuszu między dotychczas zwalczającymi się narodami. Przyczyna jednak owych zabiegów Racheli mogła być bardziej osobistej natury. Po prostu w domu pani de Guermantes ze strony jej samej spotkał ją najgorszy ze wszystkich afrontów. Nie zapomniała go nigdy, chociaż powoli przebaczyła, a szacunek jaki z tego powodu nabrała dla diuszesy miał pozostać na zawsze niezmniejszony. Rozmowa od której chciałem odwrócić uwagę Gilberty urwała się, bo nadeszła pora recytacji i pani domu zabrała Rachelę, zostawiając diuszesę samą, po krótkiej chwili Rachela ukazała się na estradzie.

STEFAN OTWINOWSKI

W KRAKOWIE

(List pierwszy)

Jest właśnie środek lata. Rok 1946. Zbliża się pierwszy sierpień. Ten pierwszy zostanie na długo datą ważną, decydującą.

Trzeba się cofnąć dwa lata.

Jest upał tak samo, jak dziś. W upale dobrze konserwuje się strach. Ale świergot letnich ptaków czyni kontemplację naturalną.

Gdyby nie pewne nadzwyczajne oznaki za oknem można by myśleć o sprawach bardzo odległych i bardzo naturalnych. Naturalnych dla pisarza. Ale to, że w zasięgu mojego wzroku, na wprost mego okna balkonowego jakiś tajemniczy osobnik pilnuje od godziny paczek, które znoszą inni tajemniczy ludzie — nie pozwala mi myśleć o niczym innym, jak właśnie o przeznaczeniu tych paczek. Jest więc we mnie upał, świergot letnich ptaków, brak zaufana do czynności świata za oknami — strach. W chwili, gdy rozlegają się pierwsze strzały nie ma we mnie zdziwienia.

Zaczęło się. Paczki poszły w ruch. Tajemnicza akcja osobników zza węgła nie jest już tajemnicą. Zaczęło się powstanie... Stoję w oknie, bo strach mój głęboki, nie ma nic wspólnego z chęcią uniknięcia widoku i kuli. To, że strzelają i to, że strzelają nawet gęsto napawa mnie podnieceniem zamazującym życie strachu wewnętrznego. To co jest — nie jest przecież straszne, może być niebezpieczne — straszne jest dopiero to, co z tego wyniknie.

Najchętniej wyszedłbym teraz z domu, ale od trzech dni rozkazanym mi działaniem jest czekanie. Trzy dni temu w rozmowie z instruktorami łączności ustaliliśmy, że trzeba czekać. Kto wie jak długo, raczej bardzo długo. Trzy dni nie wchodziły w rachubę. Czekam więc. Ponieważ trzy dni — to o wiele za mało, więc strach mój miałby realne podstawy. Ale nie jest to strach tylko z powodu rachunku. Jest to strach nagromadzony, wspierany klimatem, z wielką perspektywą.

* * *

Z perspektywy dwóch lat widzę wiele chwil groźnych. Groźnych osobiście, wynikłych z bezpośredniego spotkania się oko w oko ze śmiercią. Ale i strasznych abstrakcyjnie. Ale także wynikłych ze zrozumienia ogromu lekkomyślności. Żaden miesiąc mego życia nie miał tych chwil aż tak wiele. Zawarła się w nim miara spraw strasznych, wstydliwych, ostatecznych. Każda groza inna dalsza kojarzy się z tamtym okresem, przypomina, przymierza się z nią. I nie tylko bijąca od faktów — również promieniująca z klimatu. I dosłownie z atmosfery...

Jest dziś właśnie bardzo gorący dzień. Choć rok już jest inny: 1946. Kraków ma niedobry klimat. Przepojony wilgocią. I wilgoć jest tu inna niż gdzieindziej. Wilgoć pary wodnej, łaźni, rozleniwiająca. Stąd i psychika mieszkańców ostrożna, passywna, nijaka. Jedna sprawa jest tu tylko bardziej postępowa, niż na północy. Sprawa erotyczna. Chyba dla niej mógłby się Kraków równać z Paryżem. Natomiast postęp umysłowy jest hamowany tutaj nawet przez przyrodę. We wszystkich zjawiskach życia społecznego — prócz tego jednego — panuje bierność. Czasami zupełnie groźna. Jeśli w lipcu 1944 będąc w Warszawie bałem się, że straszne rzeczy spadną na miasto z przyczyn lekkomyślności mieszkańców stolicy — to dziś współżyjąc z Krakowem boję się zjawisk wynikających z ciężkiego, tępego sposobu myślenia mieszkańców Krakowa.

Nie można się długo zachwycać pięknem architektury starego miasta. Nic nie wynika z tego piękna. Kraków jest najlepszym tego przykładem. Estetyka murów nie zachęca nawet do zwykłego higienicznego porządku. Kraków jest obecnie najbrudniejszym miastem w Polsce. Sabotuje się tu — jak nigdzie — wszystkie wskazania nawet natury sanitarnej. Dozorca domu nie chce znać swoich obowiązków.

Nie ma władzy, która mogłaby nakazać przeprowadzenie prymitywnego porządku w mieście niedotkniętym przez nieporządek wielki. Nieład jest punktem liberalnego programu społecznego. I liberalizm ten dla świętego spokoju utożsamia się ze zdobyczami demokracji. Płakać się chce... Sprowadziłbym na miesiąc kilku znanych mi osobiście dozorców warszawskich, a ulica krakowska nie nasycałaby grozą jeszcze jedną...

* * *

Nic nie wynika z estetyki murów. A Wyspiański? Czytałem kiedyś ciekawy essay Borowego na temat genezy „Nocy Listopadowej". Podobno spacer po zimowych Łazienkach warszawskich podniecił wyobraźnię poety. Był Wyspiański w Warszawie zimą i po parku łazienkowskim chodził w chwili, gdy posągi z greckiej mitologii spoczywały pod chochołami... Inne dramaty miały jednak za odskocznię Wawel naprzykład, a Wawel jak wiadomo nie bywa zaopatrzony na zimę. Tak, ale mój sceptycyzm idzie dalej, niż Borowego: cóż pozytywnego, sensownego wynika z myślowego materiału „Akropolis" czy choćby nawet „Wyzwolenia"? Beznadziejna walka z koszmarem pokutującym w tych murach. Produkt uboczny: psychologiczne demaskowanie bezsiły: Jakiś chorobliwy nitscheanizm. Odpowiedź Przybyszewskiemu zamknięta tą samą demoniczną kropką. Czyż jest naprawdę tak wielka różnica między filozofią obu Stanisławów? Trzeba jechać do Bronowic, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. To jest tu dobre. Łatwy wyjazd w cudowne okolice. Krakowiacy odżywają w Zakopanem. Jan Alfred Szczepański dlatego ma tyle dobrej woli w stosunku do Krakowa, ponieważ jest zawodowym tatrnikiem...

rys. Mieczysław Piotrowski

Kraków, 30 czerwca 1946 r.

* * *

Ale są tu i ludzie godni podziwu. Spotkać ich można na zebraniach Związków Zawodowych. Posiadają dobrą, starą kulturę społecznego myślenia, wyobraźnię, szacunek dla ludzi pracujących naukowo czy artystycznie. Jest ich może więcej niż w innych miastach. Pragną dobrego współżycia z inteligencją twórczą. A tej wbrew pozorom jest w Krakowie bardzo mało. Jest za to bardzo wiele inteligencji nieproduktywnej, egoistycznej, wstecznej. Poziom umysłowy nauczycielstwa, palestry, kleru niczym nie różni się od podobnych środowisk na zupełnej prowincji. Tyle, że inteligencja ta jest bardziej pewna siebie. Są masą ośmieloną. Poza tym jest w Krakowie stosunkowo najwięcej elementu bezklasowego, zdemoralizowanego okupacyjnymi spekulacjami. Jeśli zdemoralizowana służba pojaśniepańska krakowsko - burżuazyjna rozumie awans społeczny, jako prawo do lenistwa, ci zdeklasowani, napływowi, aspołeczni wyznają inną zasadę: „Teraz jest demokracja, teraz ma się prawo kombinować". Obok prawa do lenistwa, demokracja ma bronić praw prostego człowieka — do szachrajstwa, oraz prawa do negacji. Pod programem rezerwy, negacji podpisuje się chętnie każdy inteligent krakowski. Rzekome poczucie praworządności jest tutaj zwykłym brakiem wyobraźni, brakiem woli...

* * *

Jest dzień mimo słońca — parny, duszny, łazienny. Jeden z przedostatnich dni lipca. Wspomnienia odsuwają myśli aktualne. W dusznym upale wisi ciągle strach.

Wypadki kieleckie? Nie są dla mnie gromem z jasnego nieba. Nie daleka jest droga od głupoty do zbrodni. Strach ogarnia człowieka: ile trzeba będzie włożyć energii w oświecenie narodu tak bardzo upartego, w wierze przeciwnej wszelkiemu wyjaśnieniu! Antysemickie komentarze inteligencji krakowskiej są sprawą równie groźną, jak czyny barbarzyńskiego tłumu, wstyd o nich pisać...

Więc mimo, że od ostatnich dni grozy okupacyjnej, od jej nieziemskiego wzrostu mijają dwa lata strach trwa nawet w godzinach letniego popołudnia.

Stefan Otwinowski

JAN KOTT

MURY JERYCHA *)

TADEUSZ BREZA

Przed wojną większość tak zwanych tygodników literackich opatrzona była podtytułem — pismo społeczno - artystyczne. Nazwałem kiedyś „Kuźnicę" pismem intelektualno-politycznym. Nie chcę teraz rozwodzić się nad różnicą tych dwóch formuł, mówią one nie tylko o wyborze tematów, są skrótem programu i metody. Powieść intelektualno-polityczna! Na nią czekaliśmy. Mamy ją. Są to Tadeusza Brezy: „Mury Jerycha".

Jest to na wielką skalę zakrojona powieść o ostatnim pięcioleciu rządów sanacyjnych przed wojną. Temat zdawałoby się pozornie gotowy, leży, wystarczy schylić się i podnieść. Temat dostatecznie bliski, aby znać na pamięć cały mechanizm realiów od regulaminu Berezy po statut Akademii Literatury, dostatecznie daleki, aby oceniać i rozumieć. Dostatecznie bliski, aby warto było pisać nie dla samych jedynie artystycznych niepokojów i satysfakcji, dostatecznie daleki, aby sekcja mogła się odbyć prawidłowo. Dołęga-Mostowicz mógł jeszcze patrosząc pośladek, zresztą wcale zręcznie, wmawiać nam, że tak wyglądał łeb. To, że kradli, nie było najważniejsze. I nie było najważniejsze to, że uciekli. Najważniejsze, że to byli faszyści. Wielkiej sekcji dokonała jak zwykle nie literatura, ale historia. Wrzesień roku 1939 był pierwszym cięciem. Zdemaskował ludzi? Nie! Zdemaskował system. Bo nie o to chodzi, że ten i ów był kanalią. A gdyby byli nawet przyzwoici? Co z tego? Historia tych lat nie jest historią ludzi robaczywego serca, ale historią polskiego faszyzmu.

Temat, wracam do tego, gotów. Zmumifikowany, wypaproszony jak Restauracja po roku 1830. Znamy i ludzi i fakty i stroje. I wiemy, o co szło naprawdę. Aby powstać mogła w tych czasach wielka powieść nastąpić musiał obok przełomu politycznego również przełom artystyczny. „Mury Jerycha" są świadectwem tego podwójnego przełomu.

Niedawno jeden z młodych krytyków, trąbiąc odwrót od powieści psychologicznej i naturalistycznej, wskazywał jako naczelną cechę nowego realizmu — typowość przedstawionej sytuacji społecznej. Określenie to nie wydaje mi się trafne.

Prawdziwy i wielki realizm nie polega na tym, aby opisywać codzienność i powszechność typu życia szarych ludzi, lecz aby odsłonić decydujący dla epoki konflikt ideowy, obyczajowy, czy moralny. Trzeba go wydobyć, skonstruować, wyogromnić. Dam przykład. Wyobraźmy sobie, że ktoś pragnie scharakteryzować politykę pieniężną. Może opisać jak wygląda banknot, najdokładniej, najściślej, aż po najcieńszą kreskę na rysunku winiety. Albo też podać wysokość emisji, zapas kruszców, wysokość obrotu kredytowego, szybkość obiegu.

W Starym Testamencie węgorz nazwany został wężem. I dlatego chrześcijanom przez wiele wieków nie wolno było spożywać węgorza w piątki. Węgorz rzeczywiście bardziej jest podobny do węża niż do ryby. Ale przyrodnik stosuje inne zasady klasyfikacji niż zewnętrzne podobieństwo wyglądu. Bada na przykład liczbę komór serca. Wybiera cechy nie tylko typowe ale konstytutywne.

Prawdziwy i wielki realizm dobiera się do tych ukrytych cech konstytutywnych, do zasadniczego konfliktu, obnaża szkielet epoki. Istotnym tematem „Murów Jerycha" jest obnażenie więzów, które coraz silniej łączyły obóz rządzący z młodym ruchem faszystowskim spod znaku ONR. W przeciwieństwie do innych powieści współczesnych, a nawet do prawie całej nieszczęśliwej tradycji powieści polskiej w okresie dwudziestolecia, Breza pokusił się o pokazanie figur pierwszoplanowych i czołowych dla obozów politycznych. Zamiast gryzipiórka, zbankrutowanych kupców i nieszczęśliwych żon referentów ministerialnych, autor miał odwagę uczynić bohaterami swojej powieści sztab ONR-u z jego wodzem Paparą, czołowe figury sanacyjne z ministrem sprawiedliwości, wojewodą poleskim i głównym agentem defenzywy na województwa wschodnie na czele. Stąd sprawy osobiste bohaterów nikną wobec problematyki ideowej, wobec trafnej i przenikliwej analizy sytuacji politycznej i społecznej. Postaci oenerowców nie tylko są psychologicznie prawdziwe, mamy w sposób wspaniały ukazaną całą mitologię czynu, energii i mocy, zachłystywania się działaniem, kultu gwałtu i przemocy, jako wartości moralnych, które mają odrodzić naród. Ale ta mitologia jest osadzona w rzeczywistości. Analiza ideologiczna podparta jest wiernym obrazem mechaniki społecznej, gospodarczej i klasowej ruchów faszystowskich. Bezbłędnie ukazywana jest klasowa baza czołówki faszystowskiej w Polsce: arystokracja licząca na pomoc państwa w utrzymaniu majoratów, obszarnicy, nie rezygnujący z powrotu do utraconych za Zbruczem wielkich majątków, lumpenproletariat, młoda biurokracja drobnomieszczańska, oczekująca wielkich i nagłych awansów i karier, fabrykanci którzy stawiają na najmniej groźnych dziedziców władzy.

Przenikliwie i z pasją ukazana jest strategia polityczna sanacji, skazanej na wyszukiwanie sobie następców w nienawidzącej jej grupie młodzieży. Krótko: ukazana jest istotna dialektyka przemian politycznych obozu rządzącego po śmierci Piłsudskiego, konieczność odrzucania masek i przyjmowania nie tylko metod faszystowskich, ale całej dekoracji i mitologii faszyzmu z pełną świadomością, że droga ta prowadzić musi do nieuchronnej kapitulacji przed czołówką młodych działaczy ONR-u. Wobec tej sprawy zasadniczej, najważniejszej i decydującej na dalszy plan schodzi kompromitacja moralna sanacji, obraz jej stopniowego gnicia i rozkładu ideowego: Adria i Bereza Kartuska, „bal w operze" i trzymanie za mordę.

Pierwszy tom cyklu powieściowego nie pozwala jeszcze całkowicie zdać sobie sprawy z rozległości i głębi analizy socjologicznej i politycznej. W każdym razie ze wszystkich ogłoszonych dotychczas książek, „Mury Jerycha" najdalej i najgłębiej sięgnęły w istotną treść polskiego faszyzmu.

Wielka powieść polityczna, ale jednocześnie, a może właśnie dlatego, wielka powieść intelektualna. Nieszczęsnym dogmatem psychologicznym w prozie było pisanie zawsze **poniżej** możliwości intelektualnych autora. Kanon prawdopodobieństwa sytuacji zmuszał do imitowania w prozie nudnych i codziennych rozmów tuzinkowych bohaterów. Jakżeż referent w VI stopniu służbowym, uwodząc urzędniczkę na poczcie, może coś mądrego i trafnego powiedzieć! Każdy autor lękał się śmiertelnie, aby nie być przypadkiem inteligentniejszym od swoich postaci. A postaci wybierał co przygłupsze. Cóż dziwnego, że trzy czwarte całej produkcji powieściowej nie wykracza poza styl rozmów, zasłyszanych w tramwaju. U nas maniera ta stała się powszechna. Ale nie jest to tylko polska sprawa. Zaczęło się to wszystko od Flauberta. Ale Flaubert powtarzał klisze rozmów i miejsca wspólne powszechnej głupoty z nienawiści do mieszczaństwa i po to, aby już nikt więcej nie miał odwagi tych nikczemnych bzdur wypowiadać. Niestety, uznano to za główne zadanie powieści.

Breza za przykładem wielkich klasyków każe swoim bohaterom toczyć rozmowy doskonale inteligenckie. Powieść drobnonaturalistyczna zwężyła funkcje dialogu powieściowego do charakteryzowania postaci. Breza przywraca powieściowemu dialogowi jego prawdziwe zadanie; wyostrza go i napina. Dialogi charakteryzują ludzi i czasy, są pożywnym miąższem powieści, gromadzą intelektualne doświadczenie autora. Co za przyjemność, można jak z klasyków wypisywać cytaty! Nienawidzę książek, z których nie można wypisać ani jednego zdania. Z „Murów Jerycha" mógłbym cytować stronami. Nareszcie w powieści jakieś odkrywcze sformułowania, a nie tylko bełkot ekspedientek w ciąży. Posłuchajcie:

O wyższych urzędnikach ministerialnych: „Panowie są we wszystkim prawie jak ktoś. W językach prawie jak cudzoziemcy, ubrani prawie na hrabiów, oblatani prawie jak światowcy, umysłowo jak docenci, w koncepcjach politycznych jak mężowie stanu. Ale prawie!"

Albo takie zdanko: „Skoro ma przekonania, po cóż mu wiadomości?" Albo o sztuce, na marginesie mecenatu króla Stasia: „Bo Polska nie zna innego mecenatu. Zawsze tu był tylko antypapież.

My stale czerpiemy ze sztuki w Europie, ilekroć ona w upadku. Kiedy sztuka w potędze, coś się u nas zdarza takiego, że jej nie potrzebujemy. Bo albo w kraju żałoba, albo dzicz". (Chętnie bym wpisał to zdanie Przybosiowi do sztambucha, jako jeszcze jedną glossę do sporu o Bonarda, Matisse'a i kapistów").

I wreszcie, aby skończyć z cytatami, jeszcze jedna z najważniejszych, o stylu myślenia politycznego w Polsce: „Zaprószył sobie głowę Wyspiańskim. Bo u nas państwowe myślenie to albo Dziennik Ustaw, albo trzej wieszcze. Żadnych pośrednich stopni".

Mamy całe kufry takich określeń. I nie są to tylko smakowite kąski. Rola ich w powieści jest istotna. Jak u Stendhala. Jak u Diderota. Proza staje się jeszcze gatunkiem literackim, który pozwala mówić rzeczy mądre i ważne i słuszne. Trzeba to bardzo wyraźnie powiedzieć. Tradycje prozy intelektualnej w Polsce są tak wątłe i zapomniane, że nie wystarczy bronić książki Brezy, trzeba bronić gatunku. Jeżeli ludzkość przydaje godności poezji, mądrość jest przyrodzoną, jak by może powiedzieli tomiści, godnością prozy.

Dla historyka przemian literackich byłoby rzeczą niezmiernie pociągającą prześledzić wpływ Prousta na Brezę. Zaważył na budowie „Murów". Nauczył statycznej kompozycji, której zresztą nie jestem wielkim entuzjastą, dał przykład owych wielkich obrazów przyjęć towarzyskich, podczas których analizuje się drobiazgowo gesty, skrzywienia twarzy, rozmowy. Zatrzymuje się akcję, prowadzi ją w tył, śledzi genealogie poszczególnych wątków, **obok** siebie ustawia się bohaterów. Opisuje, nie opowiada. Powiedzmy zresztą od razu, że Proust, którego naśladuje Breza, to Proust balzakowski, wielki nieubłagany anatom, mistrz obserwacji, który zwalnia tempo i zatrzymuje biesiadników, aby powtórzyć bezbłędnie rysy twarzy i intonacje głosu. Ale Breza mniej jest bezinteresowny od Prousta, szybciej zmierza do kompromitacji swoich postaci, innych szuka genealogii i przedłużeń. W „Murach Jerycha" na wspaniały obiad u Szembeków pada groźny cień pogromu w Otwocku. Temat daje siłę Brezie. Treść polityczna powieści zmierza do rewolucji artystycznej, do odbicia się od psychologizmu.

Nie zawsze, nie we wszystkim. Język powieści nie oczyścił się z nalotu ekspresjonizmu. Niejednokrotnie całe zdania wydają się być przepuszczone przez wyżymaczkę, tak są pokręcone, nadłamane i zawiłe. U Kadena i we wszystkich odmianach ekspresjonizmu, ten pokrętny język spełniał ściśle określone zadanie: nabrzmiewał fizjologią imitował łamanie się głosu człowieka, który wpada w gniew, współgrał z ukazywaniem wszystkich indywidualnych dziwności, w biologizmach odnajdywał sens zdarzeń. Był antyintelektualny, ale antyintelektualną była cała twórczość Kadena. W „Murach Jerycha" ten styl manieryczny i tak bardzo indywidualny idzie przeciwko ogólnym tendencjom książki. Są to wszystko środki małego realizmu. Już nie godne Brezy.

Bo oto mamy wreszcie książkę, na którą tak długo czekaliśmy. Nie znam ani jednej powieści, zarówno napisanej teraz, jak i z ostatnich lat przedwrześniowych, która by mogła równać się z „Murami Jerycha" rozległością horyzontów, dojrzałością artystyczną, poziomem intelektualnym i doniosłością polityczną. O ile następne tomy cyklu nie zawiodą naszych nadziei, będziemy mogli śmiało mówić o odrodzeniu prozy w Polsce.

Jan Kott.

*) Tadeusz Breza — Mury Jerycha, „Czytelnik 1946".

Do
REDAKCJI „KUŹNICY„
w miejscu.

W związku z artykułem pt. „Polowanie z nagonką", który ukazał się w numerze „Pobudki" z dnia 14 lipca 1946 r. Nr 27 (40) — prosimy o umieszczenie następującego sprostowania:

1) Stwierdzamy, że wystąpiliśmy w prasie przeciwko Okręgowemu Urzędowi Likwidacyjnemu w Łodzi i dyrektorowi tej Instytucji ob. Stanisławowi Dowborowi jedynie i wyłącznie z tego względu, że OUL odebrał nam czteropokojowa willę w Grotnikach po Niemcu Schultem, przyznaną nam w początku ubiegłego roku przez Pełnomocnika Wojewódzkiego dla Spraw Reformy Rolnej oraz w końcu tegoż roku przez Okręgową Radę Związków Zawodowych w Łodzi — z przeznaczeniem na schronisko dla wdów po literatach oraz dla literatów - emerytów. Willę tę OUL przydzielił ob. Kamińskiemu Konstantemu urzędnikowi Gł. Urz. Likwidacyjnego.

2) Podejmując tę sprawę Zarząd Oddziału Łódzkiego Związku Zawodowego Literatów Polskich stał jedynie i wyłącznie na stanowisku obrony praw i interesów Związku i jego członków.

3) Zarząd Związku Zawodowego Literatów kategorycznie stwierdza, że akcja Zarządu Zw. przeciwko Okr. Urz. Likw. nie może być w żadnym wypadku łączona jak to czyni anonimowy autor artykułu, z działalnością poszczególnych osób prywatnych. Sprawy tych osób prywatnych Zarządowi nie są znane. Żadne opinie osób trzecich nigdy nie były komunikowane Zarządowi i nie mogły przeto wpłynąć na stosunek Zarządu do osoby dyr. Dowbora. Zarząd oddziału stwierdza, że wszystkie domniemania zawarte w omawianym artykule, a dotyczące postępowania Związku Literatów i jego członków są wyssane z palca i dlatego winny być traktowane jako zwyczajne kłamstwo.

4) Związkowi Literatów jest całkowicie obojętne czy urzędnik instytucji państwowej jest członkiem jednego ze stronnictw demokratycznych, czy jest bezpartyjny. Próbę zaciemnienia słusznej i prostej sprawy przez przyczepienie całkowicie nieznanych Zarządowi momentów politycznych — Zarząd Oddziału zmuszony jest traktować jako prowokacyjną intrygę anonimowych inspiratorów nieprzebierających w środkach.

Za Zarząd Związku Zawodowego
Literatów Polskich — Oddział w Łodzi
Paweł Hertz

NOWOŚCI WYDAWNICZE „WIEDZY"

Do nabycia
we wszystkich księgarniach
Cena zł. 250

OLGIERD GÓRKA

Dyskusja o inteligencji (VIII)

O nowe momenty genealogji polskiej inteligencji (II)

IV

Z natury rzeczy w ramach artykułu mogę pewne nawet ważkie zagadnienia dotknąć tylko niejako po „łebkach" i na wyrywki, by przejść do drugiego mego zastrzeżenia krytycznego wobec ogólnego tenoru dyskusji o szlacheckiej genezie polskiej inteligencji, t. j. do braku podbudowy demograficznej, czyli danych statystycznych dla całego tego problemu.

Ten bowiem aspekt sprawy został tylko tu i ówdzie dotknięty w nic nie mówiącym stwierdzeniu o 10 proc. szlachty wśród ogółu ludności dawnej Polski przy np. „1 proc. we Francji". Zastanówmy się jednak, jak naprawdę przedstawia się ten problem, przy czym czytelnicy muszą mi wybaczyć, że po sui generis przerwie intelektualnej mogę rzucić tylko pewne luźne uwagi, zaczerpnięte z niewystarczającej pamięci. Na czoło sprawy wysuwa się przede wszystkim fakt, że demografia Polski, a szczególnie badania statystyczne poszczególnych stanów, składu ludności według województw i t. p. jest naprawdę w nauce polskiej jeszcze ciągle w powijakach, wracając raz za razem do tak przestarzałego T. Korzona, rzadziej do A. Jabłonowskiego. Jest to jeszcze jeden przykład tego niezaprzeczalnego cofania się raczej niż rozwoju nauki historycznej w Polsce, jakiemu uległa ona w stosunku do okresu krakowsko - warszawsko - lwowskiego sprzed poprzedniej wojny, a to w skutek opanowania ciała profesorskiego i naukowego przez elementy ciasnoty umysłowej, szowinizmu politycznego i braku perspektywy europejskiej. Wstyd bowiem dzisiaj stwierdzać, że w najważniejszych sprawach historycznych opieramy się ciągle jako na „ostatnim słowie nauki" na wydawnictwach nieraz sprzed lat osiemdziesięciu, na pracach sprzed lat siedemdziesięciu lub sześćdziesięciu, gdyż wiek dwudziesty polskiej historiografji poza dziesiątkami prac kilku naprawdę bardzo wybitnych historyków, to może drugorzędnego przyczynkostwa, pisanego przeważnie dla praktycznych celów uniwersyteckich. Praca zaś wydawnicza czy pionierska polskiej historiografii cofnęła się na ogół w ostatnich latach wprost niepokojąco.

Nic dziwnego więc, że ciągle musimy wracać w zasadniczych kwestiach do „wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta" Korzona, zapominając, że to najcenniejsze w swej trwałej wartości dzieło Korzona jest w swym tomie pierwszym pele-mele, raz obliczeń niemal szczegółowych, raz supozycji i domysłów bardzo globalnych. Osobiście, z uwzględnieniem Korzona, a w zgodzie z prof. F. Bujakiem, przyjmuję ludność b. Rzeczpospolitej w roku 1772 na 12 milionów, wśród których przyjmuję około miliona ludu szlacheckiego. W zasadzie, zarówno liczba 900 tysięcy, jak ponad milion może być słuszna, gdyż w ówczesnym chaosie liczne dziesiątki tysięcy ludności Rzeczpospolitej były płynne co do swego charakteru szlacheckości. Musimy bowiem uświadomić sobie, że właśnie gmin szlachecki, a nie element chłopski czy niedobitki polskiego mieszczaństwa o charakterze bardziej rzemieślniczym niż kupieckim, spełniał wówczas rolę tego, co wiek dziewiętnasty zaczął nazywać proletariatem. W czasach b. Rzeczypospolitej odpowiednikiem proletariatu dziewiętnastego wieku była właśnie szlachta wśród nieposesjonatów oraz biedota żydowska. W każdym razie, jeśli nie dziesięć, to około dziewięciu procent ogółu ludności Rzeczpospolitej można zaliczyć do szlachty; ale nie w tym bezwzględnym procencie, ciągle poruszanym i podkreślanym w najrozmaitszych debatach tego zagadnienia leży istota sprawy. Istota zagadnienia roli ówczesnej szlachty leży w stosunku procentowym tego „ludu szlacheckiego" do całości ówczesnej masy, która poczuwała się do polskiej przynależności narodowościowej. Ten element polski dawnej Rzeczpospolitej niektórzy badacze obliczają zaledwie na 35 proc. całej ludności, a ja przy wliczeniu wszystkich elementów, grawitujących z tych czy innych motywów do polskiej przynależności narodowej, a więc także z zaliczeniem szlachty grecko-unickiej, przyjmowałbym raczej na 40 proc. całości. W tym zaś oświetleniu widzimy, że procent szlachty wśród ówczesnego narodu polskiego, t. j. wśród tej całej masy ludności rzymsko-katolickiej, mówiącej po polsku i czującej się Polakami, choć bez definiowania przed sobą tej świadomości czy przynależności narodowej, był zjawiskiem niebywałym wręcz w całym świecie, skoro uświadomimy sobie, że n. p. we Francji element szlachty w okresie tężyzny dochodził do 2 proc., a w tej tak imponującej swoimi dziejami, a tak maleńkiej ludnościowo Finlandii wynosił zaledwie 0.2 proc. Jeśli więc wśród tej masy czującej czy mówiącej po polsku około 25 proc. można zaliczyć do przynależności szlacheckiej, to procent ludności mieszczańskiej o polskim poczuciu był raczej wprost nieznaczny. Wątpię, czy przy dzisiejszym tak niskim stanie naszych badań demograficznych nad b. Rzeczpospolitą jest ktoś w możności ten procent określić; w każdym jednak razie obracać się będzie on najwyżej około kilku procent całości.

Wszystkie te statystyczne dane, a nieraz supozycje to tylko część tego problemu podstawowego dla genealogji polskiej inteligencji. Nasuwa się bowiem pytanie, jak dzisiaj według zasad rozrodczości przedstawia się liczba domniemanych szlachciców polskich. Z dowodami bowiem heraldycznymi nigdy w Polsce nie było dobrze, a wobec zarządzeń rosyjskich po powstaniu listopadowym poczęła zanikać ta ewidencja pochodzenia u poszczególnych jednostek, a nawet grup. Ponieważ ludność terenów dawnej Rzeczpospolitej wzrosła do czasów przedwojennych około czterokrotnie w stosunku do tych obliczeń z roku 1772, moglibyśmy powiedzieć, że obecnie co najmniej cztery do czterech i pół milionów ludzi ma teoretycznie prawo do polskiego szlachectwa. Oczywiście dla zagadnienia genealogii polskiej inteligencji nasuwa się skolei pytanie, jaki procent tych ludzi został na ziemiach polskich przedwojennych, jako substancja dla formującej się inteligencji, a wiele odpadło przez zmianę granic, wiele wysiedlono na Syberię, gdyż wśród naszych sybiraków procent domniemanych szlachciców dochodzi chyba do osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu. Jeśli emigracja zarobkowa głównie dotykała chłopów i Żydów, to szlachta poza niedużą liczbowo emigracją polityczną, była wysiedlana na Syberję i w głąb Rosji zarówno po powstaniu listopadowym (np. w r. 1832 jednorazowo 25 tysięcy rodzin szlacheckich), jak też po powstaniu styczniowym. Pozatym niewątpliwie część szlachty weszła formalnie i faktycznie w warstwę chłopską, niepańszczyźnianą, gdyż szlachta zagonowa została przez Mikołaja I pozbawiona praw szlacheckich. Są to jednym słowem całe dziesiątki problemów i wątpliwości, które dlatego podnoszę, by stwierdzić, że wobec stanu naszej nauki na tym polu, trzeba będzie, w miejsce tak mało wartościowych studjów heraldycznych, jeszcze bardzo wiele pracowitych rozpraw i badań demograficznych, by ściśle naukowo ustalić i opracować problem szlacheckiej genezy naszej inteligencji.

Niemniej jednak już z tych luźnych i dorywczych uwag jedno jest jasne, jeśli uwzględnimy nikłość naszego polskiego elementu mieszczańskiego w dawnej Rzeczpospolitej, oraz fakt, że olbrzymia większość chłopstwa naszego miała zamkniętą drogę ku górze w Galicji po roku 1848, a w b. Kongresówce po 1863/4.

Tak, jak mamy na całym świecie najgorsze położenie geopolityczne (teza moja ogł. na Kongr. Hist.), tak samo byliśmy i jesteśmy narodem mającym na całym świecie w swym składzie największy procent szlachty. Tym samym jednak osiągnęliśmy drogą szlachetczyzny to, co inni na zachodzie osiągali przez mieszczaństwo i chłopstwo, a mianowici odziedziczyliśmy po dawnej Rzeczpospolitej porównawczo ogromny procent ludzi wychowanych nie tylko w wolności, ale również w samowoli politycznej, gdyż o tym momencie przy zagadnieniu indywidualizmu inteligencji polskiej zapominać nie wolno. Obydwa te specyficzne dla naszych dziejów i naszej struktury narodowej momenty nasuwają oczywiście cały bezmiar wniosków i obserwacji, z których jednak dla nas najważniejszy jest fakt, że sama statystyka decyduje, z jakich elementów musiała się formować większość polskiej inteligencji dziewiętnastego wieku, a w tym wypadku teza prof. Chałasińskiego zyskuje tylko dalszy walny argument.

Nawiasem już tylko napomknąć mogę, o momencie wychowawczo - kulturalnym, a decydującym dla tego szlacheckiego formowania się polskiej inteligencji. Szlachecki koloryt i gloryfikacja szlachetczyzny przez olbrzymią większość całej naszej wybitnej literatury, oraz ultraszlacheckie zakłamanie ogółu naszej historiografii, ciągle jeszcze rozwijającej się w duchu pragmatyzmu Jana Długosza z XV wieku, działały systematycznie, aż po dziś dzień przez fałszywą treść tego, co było i co jest treścią wykształcenia polskiej szkoły, zarówno z czasów rozbiorów jak z okresu odrodzenia państwowego. Fatalne to działanie polskiej szkoły narodowej, spetryfikowało tylko ten moment, który już tkwił pochodzeniowo w genezie i składzie polskiej inteligencji.

Wszystkie te bowiem momenty, zarówno demograficzne, jak kulturalne czy wychowawcze, złożyły się łącznie na fakt, że gdy w miejsce dawnej stanowej, herbowej i sejmikującej szlachty, poczęła się formować odmienna warstwa społeczna w tak zwanej intelgencji polskiej, to musiała ona być wprost zalana — mimo wysiłków poszczególnych wybitnych umysłów — przez tę atmosferę szlachetczyzny.

Resztę dokonał dla ostatniego pięćdziesięciolecia zniekształcający duszę polską wpływ „Trylogii" Sienkiewicza, a ściśle mówiąc wpływ tej najpiękniejszej pod względem artystycznym, ale najfatalniejszej pod względem swego wychowawczego wpływu na naród powieści polskiej, jaką jest „Ogniem i Mieczem". Zdawałem sobie zawsze sprawę z tego zarówno przepotężnego, jak fatalnego wpływu „Ogniem i Mieczem" i dlatego wykazałem pełny fałsz historyczny tej powieści, zarówno co do całości ujęcia, jak co do wszystkich szczegółów, gdyż tylko fałsz może mieć wpływ destruktywny, a prawda historyczna jest zawsze czynnikiem zdrowym i twórczym. Z głęboką więc wewnętrzną satysfakcją przeczytałem sąd prof. Chałasińskiego, który twórczości i wpływowi politycznemu Sienkiewicza wyznaczył słusznie tak decydujące stanowisko w formowaniu się psychiki polskiej inteligencji.

V.

Przejdźmy obecnie pokrótce do ostatniego momentu, który chciałbym wprowadzić do tej kwestii, t. j. do terminów, a quo i adquem, czyli do zagadnienia powstawania i zanikania inteligencji polskiej, jako specyficznej dla nas i dla naszych dziejów warstwy społecznej, w tych bowiem terminach chronologicznych, a zwłaszcza w końcowym leży cała aktualna waga tego problemu.

Fenomeny i warstwy społeczne rodzą się najpierw poszczególnymi momentami dziejowymi, które potem z postępem czasu gęstnieją. Dla możności stwierdzenia, formowania się, wzgl. zanikania pewnego fenomenu społecznego, potrzeba było w starożytności, w średniowieczu, a nawet w czasach nowożytnych nieraz jednego wieku, czy dwuch do trzech pokoleń, a w okresie wielkiej degresji historycznej między piątym a jedenastym wiekiem, może nawet więcej. W czasach najnowszych wystarcza już często dla takich stwierdzeń o charakterze obserwacji społecznej jedna generacja, nieraz niecałkowicie, a natomiast po przedostatniej wojnie, jak to sami dzisiaj zauważyć musimy, wystarcza dla zmian społecznych zaledwie kilka lat. Dopiero bowiem człowiek najnowszej epoki przeżywa nawet w swym pojedyńczym życiu jedną i drugą zmianę zupełnie odmiennych warunków społecznych i gospodarczych. Oczywiście to skracanie się terminów jest przede wszystkim rezultatem rozwoju techniki, a zwłaszcza komunikacji, czynników, które już od wieku dwunastego systematycznie skracają długość procesów historycznych.

Na tle tych ogólnych zastrzeżeń wobec tempa zmian społecznych, możemy więc stwierdzić, że zalążki polskiej inteligencji w pojęciu wieku dziewiętnastego dałyby się zauważyć już w okresie Sejmu Czteroletniego. (Np. mieszanie się mieszczan do t. zw. arbitrów w Sejmie i t. p.). Nieporównanie jednak bardziej typowo wystąpi życie i działanie inteligencji w naszym, dzisiejszym znaczeniu, np. w takiej głośnej „Honoratce", dziś doszczętnie zniszczonej, Lelewela i Mochnackiego sprzed i z czasów powstania listopadowego. Rację ma jednak dla tych czasów cytat znakomitego A. Brücknera, że to, „zawsze jeszcze szlachta". Dlatego dla mnie istotną datą początkową tej inteligencji polskiej, naogół wychodzącej w większości ze szlachty, a niemal w całości opanowanej duchem szlachetczyzny, ale już biorącej we własnym imieniu polskie rządy polityczne w garść, będzie raczej „Wiosna ludów" i rok 1848. Właśnie na terenie tego problemu, szlachta a inteligencja, ogólnoeuropejski wstrząs roku 1848 miał decydujące znaczenie dla całego bytowania nowszej myśli polskiej, a został on w dotychczasowej dyskusji pominięty przez ten — jak się wyraziłem jej „królewiacki" charakter. Grosso modo więc ponownie schodzę się z prof. Chałasińskim, ustalając termin a quo powstania polskiej inteligencji, jako specyficznej warstwy społecznej narodu polskiego, na połowę wieku dziewiętnastego.

Nieporównanie jednak ważniejszym jest termin ad quem, t. j. pytanie, kiedy ta z ducha szlacheckiego poczęta i na ogół duchem czy tradycją polityczną szlachty prowadzona inteligencja polska kończy swój żywot, jako specyficzna warstwa społeczna. Jest dla mnie wyraziście jasnym, że **stało się to w latach 1939—45.**

Pierwsze słowa, które wypowiedziałem pu-

*) Por. „Kuźnica" Nr Nr 4, 12, 19, 20, 29, 30 z artykułami J. Chałasińskiego, K. W. Zawodzińskiego, Spectatora i Litwina.

KRONIKA FILMOWA

NOWE DROGI FILMU ANGIELSKIEGO

Powodzenie filmu Kordy: „Życie prywatne Henryka VIII" (króla grał niezrównany Laughton) — wywołało u angielskich producentów z ul. Wardour ślepą wiarę w sukces każdego filmu o wielkiej mise-en-scène, z tysiącem statystów w kostiumach i gwiazdorem na tle wspaniałych dekoracji. Ta właśnie droga poszły największe angielskie wytwórnie i oto smutny kres wędrówki: — film „Cezar i Kleopatra" reżysera Pascala, nakręcony wg sztuki Shawa. Super-kolorowy tasiemiec, który kosztował kilka milionów funtów i w którym — w natłoku sfinksów ,naturalnej wielkości", żywych słoni i okrętów z papier maché — nie odnajdziesz ani Shawa, ani filmu, ani sztuki, ani nawet rozrywki.

Tymczasem w cieniu wielkich wytwórni i całkowicie przez nie ignorowany — rozwijał się od lat angielski film dokumentarny.

Rzecz niespodziewana: ten dopiero wsławił angielskich filmowców na świecie. Więcej: ang. film dokumentarny wywarł wreszcie zbawienny wpływ na produkcję filmów rozrywkowych, wnosząc tu świeży powiew realizmu i nową tematykę. Jeśli dotrze do nas np. film „Krótkie spotkanie" (autorzy Noel Coward i Dawid Lean), będziemy mogli przekonać się o tym naocznie.

Zaczęło się to bardzo skromnie. Był sobie entuzjasta filmu John Grierson. Człowiek lewicowych przekonań i apostoł idei: film jest narzędziem służby społecznej. Dla panów z Wardour street było to zwykłe austriackie gadanie, ale Grierson poszedł do państwowej instytucji General Post Office. Grierson rozumował słusznie: jeśli film ma służyć społeczeństwu, to winien wyrzec się wszelkiej myśli o zysku. Któż więc jak nie państwo winno wyłożyć tu pieniądze? Grierson ,miał szczęście, trafił na ludzi, którzy jego projekty przyjęli ze zrozumieniem i obiecali mu poparcie. General Post Office udzielając Griersonowi swej firmy i dużych pieniędzy — należy to z uznaniem podkreślić — nie żądało wzamian żadnej doraźnej propagandy, zostawiło mu pełną autonomię programową i artystyczną.

Tak się to zaczęło. Grierson, świetny organizator, miał jeszcze jedną wielką zaletę: umiał wyławiać ludzi zdolnych i ludzi tych szanował. To też bardzo prędko znajdą się przy nim tacy utalentowani filmowcy jak Flaherty, autor filmu „Nanouk", jak Paul Rotha, Alberto Cavalcanti, Holmes, Elton i Wright. Z Griersonem pracują najzdolniejsi muzycy: Leigh, Britten i Jaubert, poeci jak Auden, malarze jak Len Ley, twórca eksperymentalnych filmów kolorowych itd. Wszyscy, kogo zniechęciła mentalność producentów z ul. Wardour, znajdują w grupie Griersona możność twórczej pracy, pracy doskonale zorganizowanej i wolnej od zmory „czy to się opłaci?". Wytwórnia Griersona rodzi inne, silne grupy i przed samą wojną angielski film dokumentarny ma już 20 ekip pracujących jednocześnie. A w swej kinotece — około 400 filmów, w tym tak znane, jak „Nocna Poczta", „Pieśń Ceylonu", „Żyjemy w dwóch światach", „Węgiel" itp.

Grierson wydaje czasopismo „World Film News", które stacza kilka głośnych batalii, walcząc z supremacją seryjnej produkcji Hollywoodu, a w ostatnich latach przed wojną tworzy specjalny ośrodek filmu dokumentarnego, t.zw. „Film Centre".

Przez wiele lat angielskie „Films of Fact" szły jedynie w szkołach i uniwersytetach, w klubach i salach związków robotniczych. Walka o uzyskanie miejsca w normalnych programach była długa, dopiero wojna i potrzeby propagandy zmieniły te stosunki. Z początku wytargowano od biur wynajmu dla filmów dokumentarnych pięć minut, potem cały kwadrans, a dłuższe i bardziej sławne — zaczęły powoli wypierać z ekranów filmy zwykłe. Pomogła tu sama publiczność, która głośno upominała się o Films of Fact. Ich ogromne powodzenie poruszyło wreszcie umysły panów z filmowej ulicy. Ludzie Griersona stali się modni, pozwolono im „wejść do branży". Wardour street przyjmuje z honorami Cavalcantiego i Flahertyego i Rothę.

„Crown Film Unit" pracujący w latach wojny dla ang. ministerstwa informacji nakręcił z górą 700 filmów. Sprawy wojny nie były tu jedynym tematem, poruszano też najróżniejsze zagadnienia społeczne: zagadnienia odbudowy kraju po wojnie, gospodarki rolnej, higieny, opieki nad sierotami, nawet problemy polityczne. Wymienię pozycje najważniejsze: „Bitwa na pustyni", „Prawdziwa sława", „Świat — rogiem obfitości", „Ziemia obiecana", „Cypr jest wyspą", „Byłem strażakiem". Przygoda na Atlantyku", „Cicha wieś", wreszcie piękny i odważny film Whrighta: „Dzieci przed sądem". W filmach tych autentyzm jest nutą dominującą, chociaż zdarza się, że z autentyzmem łączy się dyskretnie podana fabuła. Takim jest np. piękny film Jenningsa: „Pamiętnik pisany dla Tymoteusza". Opowiada on historię ostatnich sześciu miesięcy wojny. Mały tymoteusz rodzi się w dniu oswobodzenia Paryża. Nic nie wie o ciężkich zmaganiach, jakie jego ojczyzna przeżywa, nie wie że jego pierwsza zima jest pewnie najcięższa, jaką kraj widział od początku wojny. Film kończy się zdjęciem ukazującym aliantów forsujących Ren i tymi słowami speakera: „Tak oto, mój Tymoteuszu, zbliża się koniec wojny. Czy po to, żebyś i ty z kolei poznał nędze, bezrobocie i mroki kryzysów? A potem ich nieuchronny skutek, nowa masakra?"

To odważne pytanie streszcza w sobie cały program ludzi skupionych wokół Griersona. Film na służbie społecznej winien dać obywatelowi wiedzę o życiu jego własnym i o życiu zza miedzy. Możliwie odważnie i możliwie szczerze, gdyż jest to jedyny sposób ukazywania niebezpieczeństw, jakie grożą idei pokoju. A jak powiada Cavalcanti: „zagadnienia higieny, rolnictwa i tysiące podobnych — mogą być równie interesujące i dramatyczne jak zdrada małżeńska czy kryminalna powieść"...

Jak już wspomniałem, angielski film dokumentarny zdobył sobie wielkie uznanie na całym świecie, nawet w Ameryce! Jankesi przyznali, że oto pierwszy raz w dziejach filmu stara Anglia pokazała, coś czego amerykański film nie znał. W istocie choć to może wydać się zabawne, amerykański film dokumentarny, poddany był tym samym prawom biznesu, co i normalna produkcja Hollywoodu — nie potrafił znaleźć odrębnego stylu, był jałowy, płytki, był zazwyczaj zbiorem efektownych widokówek. Nie było też w Ameryce ani jednej grupy, która by pracowała jak u Griersona, ożywiona duchem służby społecznej. Jednakże w wyniku ustawicznych kontaktów w latach wojny filmowców angielskich i amerykańskich, a także dzięki wymianie filmów — takie grupy za oceanem z pewnością powstaną. Niezależna wytwórnia Franka Capry jest pierwszą jaskółką.

ab

P. S. dane zaczerpnięte z artykułów Rothy, Cavalcantiego i Sadoula.

NA BEZDROŻACH ZŁYCH TRADYCJI

(Wystawa grupy artystów krakowskich „Polonia")

W łódzkiej galerii sztuki w Parku Sienkiewicza otwarta została w ostatnich dniach wystawa obrazów i rysunków artystów-plastyków krakowskich pod nazwą „Polonia".

Wystawa ta, mająca być odbiciem w plastyce polskiej pięcioletniej martyrologii narodu podczas niemieckiej okupacji i warszawskiego powstania, wykazuje na ogół wcale nie wysoki poziom artystyczny oraz uderzające ubóstwo tak w pomysłach, jak i w środkach plastycznych, jakimi wystawcy „Polonii" usiłują do widza przemówić. Mówiąc o ubóstwie środków, wcale nie mam na myśli środków technicznych, ale te, które dają widzowi wobec dzieła sztuki pełne zadowolenie estetyczne, niezależnie od tego, czy to będzie malowidło olejne czy akwarela, rysunek ołówkiem czy piórkiem, rzeźba wykuta w marmurze, odlana w bronzie, czy wycięta w drzewie.

Artysta-plastyk z prawdziwego zdarzenia czyli człowiek obdarzony owym szczególnym darem — umiejętnością formułowania swych przeżyć, swego stosunku do rzeczywistości środkami plastycznymi, potrafi zwykłym ołówkiem grafitowym nakreślić na ćwiartce papieru rysunek w którym wyrazi tak kształt, jak też jego barwę i ruch, pomieści go też w określonej ogólnym planem przestrzeni, w świetle lub w cieniu, a co tu jest sprawą najważniejszą potrafi przez odpowiednie ustosunkowanie mas czy przez kontrastową grę światła i cienia nadać swemu dziełu tak intensywny, czyli skupiony *wyraz duchowy*, jaki nie często znaleźć się zdarza w owych wielkich malowidłach, wypełnionych tłumem strojnych figur i masą różnych szczegółów tworzących tło dla scen historycznych, które polecają nam podziwiać podręczniki historii sztuki i przewodniki po muzeach. Takim właśnie artystą-plastykiem „z prawdziwego zdarzenia" był niewątpliwie ów anonimowy dzikus z przedhistorycznej epoki „kamienia gładzonego", który pozostawił nam na ścianie groty Altamira (w Hiszpanii płn.) wizerunek atakującego w skoku, olbrzymiego dzika i bizona, narysowany czerwoną gliną przed wielu, wielu tysiącami lat, jako wieczysty ślad swego geniuszu, albo ów drugi dzikus z tejże samej epoki, po którym pozostały dwa wizerunki bizona na ścianach jaskini „Tout de Gaume" w dolinie rzeki Wezery.

Nie potrzebujemy zresztą sięgać aż tak daleko do epoki „kamienia gładzonego"... Wystarczy przypomnieć tu tak zadziwiająco skromne, a z tak przemożną siłą przemawiające wciąż do każdego wrażliwego na piękno widza rysunki piórkowe i akwaforty Rembrandta albo litografie i akwaforty hiszpańskiego artysty, Franciszka Goyi, z cyklów „Capriccios", „Proverbios" i *„Desastros de la Guerra"* („Okrucieństwa wojny") zwłaszcza ten cykl ostatni, jako obrazujący aktualny też dla nas temat, walkę Hiszpanów z najazdem na ich kraj wojsk napoleońskich w pierwszym dziesiątku lat ubiegłego wieku.

Francisco Goya — Z cyklu „Okrucieństwa wojny"

Wystawa „Polonii", w Parku Sienkiewicza wykazuje dokumentarnie — zresztą nie po raz pierwszy w dziejach sztuki, — że w sztuce sam *temat*, choćby tak tragiczny, jak przez grupę „Polonia" podjęty, nie da widzowi istotnie pełnego przeżycia estetycznego, jeżeli nie został wyrażony środkami wyłącznie plastycznymi, lecz wzruszyć go zatargać jego bebechami usiłuje przy pomocy akcesorjów czysto zewnętrznych środków w swej istocie pozaplastycznych, *anegdotyczno - narracyjnych*. A przytem to narracyjne gadulstwo, te powtarzające się prawie w każdym z wystawionych malowideł i rysunków epizody łapanek ulicznych, masowych rozstrzeliwań, te stosy trupów, pożary, zgliszcza i ruiny, czynią wrażenie prac malowanych i rysowanych może w poczuciu patriotycznego obowiązku, *lecz bez żadnej wyczuwalnej konieczności wewnętrznej*. A tylko taka wewnętrzna konieczność mogłaby im dać siłę wyrazu, zniewalającą widza. Nie pomoże tu nawet najpoprawniejszy rysunek, jeżeli ręką malarza i rysownika nie kierowała wewnętrzna konieczność. Przypomina się tu mimowoli znany mi z kolorowej reprodukcji obraz wybitnego malarza rosyjskiego, Wereszczagina, przedstawiający zniszczenie, jakie sprowadza wojna, w postaci wysokiej piramidy, złożonej z samych wysuszonych, nagich czaszek ludzkich i piszczeli. Efekt malowidła absolutnie odmienny od tego, jaki zapewne istniał w intencjach malarza, gdyż ten obraz nie budzi ani lęku, ani grozy, ani gniewu, lecz tylko pełne zdziwienia zapytanie: skąd tu się wzięła taka góra kości ludzkich?...

Przybrana przez grupę krakowskich plastyków nazwa „Polonia" — budzi też mimowoli wspomnienie owej długotrwałej epoki w sztuce polskiej XIX wieku, epoki wcale nie najlepszej, lecz zasługującej już dziś na rozgrzeszenie, bo już prawie przed półwiekiem ostatecznie przezwyciężonej i zamkniętej. W tej to epoce temat historyczny lub rodzajowy (etnograficzny) rozstrzygał o powodzeniu artysty i jego dzieła, a równocześnie o jego *narodowych polskich cechach*... Nadawało to plastyce polskiej XIX wieku — z bardzo nielicznymi wyjątkami — ogólny charakter *ilustracyjny*, niezrozumiały i obcy dla każdego, kto nie znał szczegółowo polskiej historii i etnografii. Ten literacko - narratorski, ilustracyjny charakter, który przyrósł tak mocno do sztuki polskiej XIX wieku, fałszował prawie przez lat sto właściwe cele i możliwości plastyki, wprowadził na długo zupełny zamęt do laickich głów i sądów o sztuce, utrudniając tak zrozumienie właściwych zadań plastyki, jak i jej przeżywanie, a zarazem uniemożliwiał pracę i wpływ, a nawet samo istnienie w kraju wybitnym a bezkompromisowym w swej pracy artystom. Ten stan rzeczy wpływał też bez wątpienia hamująco na rozwój polskiej plastyki. Źródłem tego rodzaju twórczości i poglądów na sztukę „narodową" (!) były silne w XIX wieku wpływy plastyki niemieckiej, a w szczególności szkoły monachijskiej, pielęgnującej martwy idealizm akademicki i mistyczny nacjonalizm. Luminarzami tej sztuki byli podówczas profesorowie monachijskiej akademii: W. Kaulbach, K. Piloti, Cornelius, Fr. Pforr, Schnor von Carosfield. U nich to czerpali szkolną wiedzę i poglądy na cele sztuki artyści nie tylko polscy, lecz i rosyjscy, węgierscy, czescy i in. Wpływ ten zaciążył fatalnie nawet na tak wielkich talentach jak Matejko Artur Grottger, Siemiradzki, Brandt, Wieruszkowalski. Czyżby było sprawą tylko przypadku, że grupa współczesnych krakowskich plastyków, których twórczość ma Łódź obecnie sposobność oglądać, przybrała sobie jako nazwę tytuł jednego z cyklów kartonów Artura Grottgera — „Polonia"? Jeżeli tytuł ten miałby być sztandarem programowym tej grupy, to niewiele się po niej spodziewać może rozwijająca się dziś na innych drogach plastyka polska...

Przecław Smolik

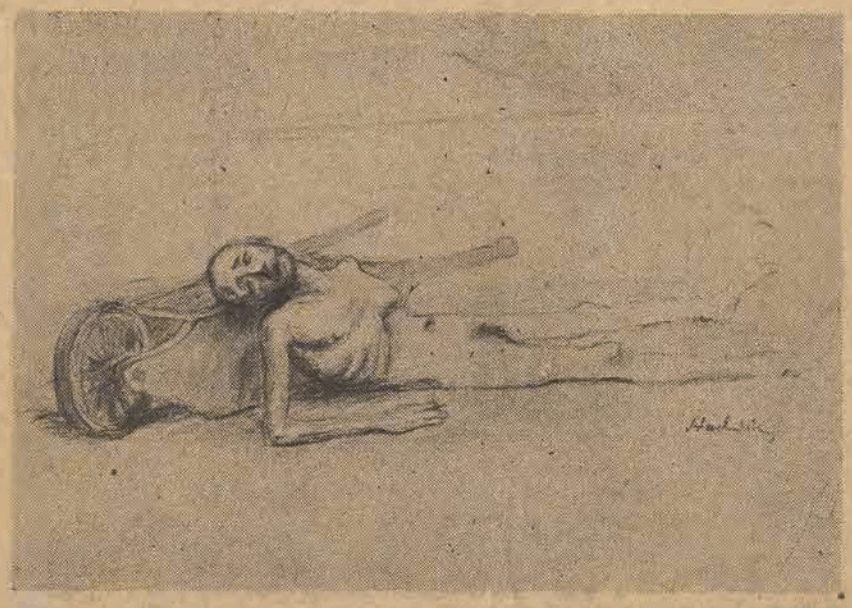

Studnicki — „Arbeit macht frei"

(Dokończenie ze str. 9-ej)

blicznie, powróciwszy po pięcioletnim pobycie na emigracji, w jesieni 1945, a więc przed całą dyskusją, około której się obracamy, były stwierdzeniem tej zasadniczej zmiany społecznej w Polsce, która wprost rzuca się w oczy przybyszowi, powracającemu do swego kraju. Po powrocie bowiem do kraju uderzało mnie, że zostawiłem Polskę jako kraj o warstwicowym, jak się wówczas w odczycie wyraziłem układzie społecznym, przy którym, mimo wszystkich teoretycznych równości konstytucyjnych, wyczuwało się znakomicie i odrazu przynależność do poszczególnych klas towarzysko - społecznych, z tym, że właśnie wśród t. zw. inteligencji na ogół próbowano z powodzeniem lub bez snobować się związkami z ziemiaństwem. Wróciwszy natomiast do kraju, zastałem naród polski najzupełniej między sobą społecznie wymieszany, głównie przez wszystkim nam dobrze znane cechy rządów okupacyjnych w czasie ostatniej wojny które zniwelowały, rozbiły przedwojenną pozycję gospodarczą, kulturalną, towarzyską polskiej inteligencji. Proces ten, wynikły z całkiem innych motywów, został siłą biegu wypadków przypieczętowany koniecznością dziejową, społeczną i gospodarczą, jaką była radykalna likwidacja wielkiej własności w roku 1945.

Jasnym jest przy tym dla każdego obserwatora, że to nowe powojenne społeczeństwo polskie, dla którego charakterystyczny jest nie jakiś zanik intelektualizmu, ale rozbicie gospodarcze, społeczne i towarzyskie specyficznej inteligenckiej warstwy społecznej, dominującej w latach 1848 do 1939 nie jest już jakimś nowym tworem dokonanym, zamalgamowanym o zdefiniowanym obliczu. Przeciwnie, jest to typowa mieszanina społeczna, jeszcze wewnętrznie niespojona, ale już skuta powszechną świadomością potrzeby, by nareszcie w miejsce dawnych archaicznych i warstwicowych szlacheckich przeżytków przerobić z czasem całość społeczeństwa polskiego w nowy, zwarty, a nie warstwicowy monolit przyszłego narodu polskiego.

Tym samym wchodzimy w cały szereg zupełnie nowych problemów, a więc przede wszystkim w zagadnieniu uformowania nowej psychiki przyszłego narodu. Niech mi będzie wolno w zamknięciu, a pro domo mea zaznaczyć, że z uśmiechem głębokiego sceptycyzmu patrzę na to ponowne dreptanie w kółko przez coraz to nowe debaty rozmaitych organizacji, komisji, instytucji itp. na temat reform wychowania polskiego. Chociaż tylko z czasów ostatniego trzydziestolecia można by z tworów tych wszystkich ministerstw, rad, komisji itp. nagromadzić całą bibliotekę w języku polskim, to tak, jak nie miały one przedtem wpływu na kształtowanie polskiej duszy narodowej, tak samo obecnie — moim zdaniem przynajmniej — grozi ten sam brak rezultatów. Ostatnie wypadki wśród młodzieży, stwierdzają zresztą tylko słuszność tego sceptycyzmu. Wszystkie te bowiem wysiłki, całe to dreptanie w kółko od lat kilkudziesięciu obracało się i obraca koło zagadnień formy, t. j. wychowania, a nie koncentrowały się one i nie koncentrują się przy sprawie decydującej dla formowania psychiki narodowej, t. j. koło treści, czyli wykształcenia narodu polskiego drogą prawdziwej historii politycznej i właściwie nauczanej historii literatury.

Faojcowie nasi w Komisji Edukacyjnej chociaż na tle warunków czasu i środków ułamkowo tylko wykonali na swoje czasy swe zadania. Dziś po strasznych ciosach najbliższej przeszłości, po bankructwie i zaniku inteligencji jako specyficznej warstwy społecznej poczętej z ducha szlachetczyzny, stajemy po raz drugi w dziejach przed momentem zwrotnym dla całego formowania nowej psychiki narodu polskiego. Zagadnienie to staje się palące nie tylko na tle faktycznych stosunków politycznych, ale także w wyniku nieodwołalnego bankructwa dotychczasowej t. zw. polskiej inteligencji.

Świadomość zaistnienia tego punktu zwrotnego dla polskiej psychiki powinna dotrzeć do wszystkich, a dyskusja o genealogii polskiej inteligencji winna znaleźć się wśród szczytowych objawów przebijania się tej świadomości.

Olgierd Górka

Stanisław Borysowski — Z wystawy grupy „Polonia"

ROZMAITOŚCI

PERSPEKTYWA

Byłem w Gdyni, widziałem port w odbudowie. Publikacja min. Kwiatkowskiego, ogłoszona w „Wietrze od morza", daje obraz trudności pokonanych i perspektywy dalszej odbudowy. Wybrzeże to tylko fragment gospodarki narodowej. Konieczność odbudowy przemysłu zniszczonego przez wojnę jest tak zrozumiała, jak konieczność oddychania powietrzem. To także tylko fragment, nie w przestrzeni, ale w czasie. Kraj, który chce coś znaczyć, w dzisiejszym świecie, musi rozwijać przemysł. To truizm, ale z tego truizmu coś wynika również dla życia umysłowego. Dążność do rozwijania przemysłu jest pędem zdrowym, dążność do zahamowania tego rozwoju oznacza gnicie. Kraj zacofany gospodarczo, który nie ma przed sobą perspektywy rozwoju przemysłowego, traci perspektywy kulturalne. Nie wiem, czy zadaniem Ministerstwa Propagandy czy jakichkolwiek innych organów urzędowych jest wyjaśnianie ludziom, że formy ustrojowe i gospodarcze, jakie Polska wybrała, bardziej sprzyjają dzisiaj przekształceniu kraju w kraj przemysłowo - rolniczy, niż formy karteli i obszarniczego władania ziemią. Gdyby tak nie było, nie warto byłoby robić reform. Wydaje się, że niekoniecznie trzeba być człowiekiem Obozu Reformy, aby zrozumieć decydujące znaczenie tej perspektywy, że chyba trzeba być ślepcem, aby dobrowolnie tracić ją z oczu.

Żaden intelektualista z Obozu Reformy nie propaguje bałwochwalstw techniki. Żaden poeta z Obozu Reformy nie sadzi się na kult maszyny. Nie przeżywamy tej dziecięcej odry. Jasną, optymistyczną perspektywę rozwoju przemysłowego łączymy z perspektywą humanistyczną: wierzymy po prostu, że przekształcając instytucje stwarzamy niezbędne warunki do przekształcenia człowieka. Doświadczenie historyczne zbyt wymownie to potwierdza, aby nawet skrajni spirytualiści mogli nam przeczyć całkowicie. Czytałem wywody teoretyczne ks. Piwowarczyka, który przeciwstawiał spirytualizm katolicki materializmowi. Jeśli dobrze je zrozumiałem to nawet w niezależnej od warunków ziemskich, autonomicznej konstytucji duszy ludzkiej pozostaje pewien margines zmienności laickiej. Gdyby choć ten margines skąpy bo skąpy, nasze środowiska myśli katolickiej zapisały głoskami Reformy i włączyły do perspektywy rozwojowej kraju!

Mamy jednak w życiu umysłowym problematykę, bezpośrednio i jawnie wciągającą nas w perspektywę uprzemysłowienia kraju. Mamy problematykę, jaką nie może się dzisiaj pochwalić żaden kraj na świecie. Nie jesteśmy już pawiem narodów, jesteśmy rarogiem. Dyskutuje się u nas na temat cywilizacji technicznej. Dyskutuje się poważnie, czy miasto zatruwa duszę człowieka, czy rozwój przemysłu nie niszczy kultury. Egzorcyzmy padają na huty, na hale fabryczne, na szczotki do zębów. „Kuźnica" musi tracić wiele energii, aby uspokoić czytelników, że jednak odbudowa portów nadbałtyckich nie spowoduje katastrofy kulturalnej. Wszystko to dzieje się w kraju zacofanym przemysłowo, który dzięki przesunięciom granic uzyskał możność przekształcenia struktury gospodarczej. Czytałem niedawno w piśmie literackim rozważania stawiające znak równości między cywilizacją techniczną a hitleryzmem. Masowe ludobójstwo tłumaczy się niczym innym, jak faktem, że można je było uprawiać nowoczesnymi środkami technicznymi. Takie majaczenia, wypisywane w biały dzień, pretendują do udziału w życiu umysłowym, do pobudzania ruchu intelektualnego, do programów poetyckich.

Grudka biologicznego podglebia, pół grama promieniotwórczej intuicji, tuzin egzorcyzmów przeciwko belzebubowi maszyny, baniak mistycznej pogardy dla sądów sprawdzalnych, plecak wypchany zadusznymi tęsknotami, puszka konserwująca cztery żywioły — oto wyposażenie dla inteligenta na drogę w przyszłość. Z taką ayspozycją duchową ma wejść w jedyną, rzeczywistą perspektywę. Dotąd mówiło się o podsycaniu takiej niewczesnej dyspozycji na terenie chłopskim. Dopóki tańce z upiorami odbywają się na klepisku, łatwo to wytłumaczyć spuścizną zacofania i nawet mówić o historycznej konieczności zamętu myślowego w pierwszej fazie po wielkiej reformie. Wszystkie choroby życia duchowego są uzasadnione historycznie. Świadomym wysiłkiem można ich przebieg skracać. Nie ma takiego fermentu przedawnionych, opatrznych, jałowych, wstecznych tendencyj, któreby należało zbywać lekceważącym milczeniem dlatego, że i tak skazane są na zagładę. Na terenie myśli chłopskiej w ciągu półrocza wiele się zmieniło, myśl jasna oddziela się od zamętu myśli, widać już gdzie ogień Reformy a gdzie stojąca woda mistyki. Inteligencja, której nie można wcale posądzać o koligacje chłopskie, postawiona przed wyraźną perspektywą rozwojową kraju, daje jedyne w swoim rodzaju widowisko, uprawia problematykę fikcyjną, dostraja przedziwny akompaniament do expose Ministra Przemysłu. Nie wystarczy powiedzieć sobie, że zaciążyła na inteligencji polskiej szlachecka niechęć do cywilizacji miejskiej, do przemysłu i techniki. Pomija się przez to cały arsenał rozpaczliwej, bezradnej myśli okresu międzywojennego, szaleńcze postulaty odprzemysłowienia kraju, upajanie się fikcyjnym ideałem średniowiecza i rzemieślniczo-cechowej arkadii. Pomija się spuściznę intelektualną wielkiego kryzysu strukturalnego lat międzywojennych i fałszywe uroki maskarady ideologicznej uprawianej przez faszyzm włoski, austriacki i nasz rodzimy. Francja również znała w tym czasie te żałosne tendencje w życiu umysłowym. Strząsnęła je z siebie wraz z okupacją, bo okupant postawił kropkę nad i, po prostu chciał zmienić Francję w zaplecze rolnicze. Czego chciał na nas dokonać, wiadomo, nie była to już kropka nad i, ale brutalny wykrzyknik Czy ludzie pretendujący do udziału w życiu umysłowym i artystycznym nie zrozumieli tej lekcji historii?

Czy rzeczywiście nie odpowiada im perspektywa rozwojowa kraju? Czy nie spostrzegają związku między tą perspektywą a zdrowym rozsądkiem, — i braku związku między zdrowym rozsądkiem a kwasami, które czynią z nich brzuchomówców?

ADAM WAŻYK

Fałszywa troska o film

W „Dzienniku Ludowym" Jalu Kurek zadaje Filmowi Polskiemu szereg drastycznych pytań, uprzedzając, że nie zniesie „tłumaczeń, artykułów obronnych i zawiłej frazeologii". Ponieważ — jak twierdzi — sprawa jest jasna i prosta", odpowiem mu w sposób jasny i prosty na wszystkie postawione pytania:

Pytanie pierwsze

Dlaczego na ekranach nie oglądamy nowych filmów polskich, kiedy Czechosłowacja i Włochy uruchomiły już swoją produkcję i zaczęły później od nas?

Odpowiedź

We Włoszech istnieją dwa miasta filmowe — jedno w Rzymie, drugie pod Mediolanem. Jest to najwspanialszy dziś przemysł filmowy w Europie, daleko bardziej nowoczesny niż przemysł francuski czy nawet angielski. Można tu produkować ponad sto filmów pełnoprogramowych rocznie. W wytwórniach włoskich pracuje kilka tysięcy techników i realizatorów, którzy nabierali doświadczenia w służbie u **Mussoliniego** i **Hitlera.** W okresie działań wojennych film włoski nie doznał żadnych uszkodzeń. W związku z tym produkcja podjęta została znacznie wcześniej niż w Polsce. Narazie zrealizowano dwa czy trzy filmy, z których jeden doczekał się sukcesów na ekranach zagranicznych.

Czechosłowacja otrzymała w spadku po Niemcach jedenaście kompletnie wyposażonych hal filmowych. W okresie wzmożonych nalotów na Berlin centrum niemieckiej produkcji filmowej przeniosło się do Pragi. Znaczna liczba filmowców czeskich współpracowała w czasie wojny z Niemcami. Filmowcy, którzy wyemigrowali, znaleźli zatrudnienie w wytwórniach brytyjskich. Obecnie jedni i drudzy znajdują się w Pradze, gdzie narazie zrealizowano w jedenastu halach jeden film pełnoprogramowy. Dwa dalsze są na ukończeniu.

W Polsce sztuki filmowej nigdy nie było. Polski przemysł filmowy pogrzebali Niemcy w ruinach Warszawy. Dzięki szalonemu wysiłkowi nielicznej garstki polskich filmowców zdołano w ciągu kilku miesięcy wybudować laboratorium, a w niespełna rok pierwszą halę do zdjęć. Urządzenia techniczne, które filmowcy polscy zdobyli w Berlinie okazały się niekompletne i dopiero w kwietniu bieżącego roku przybyły do Polski zamówione w Szwecji i Francji dopełniające części aparatury dźwiękowej. Od kwietnia atelier łódzkie jest w nieustannym ruchu. Ukończono właśnie zdjęcia do pierwszego polskiego filmu pełnoprogramowego i natychmiast przystąpiono do następnego.

Przed wojną miała Polska dziesięciu reżyserów z mniejszym lub większym doświadczeniem w zakresie realizacji filmów pełnoprogramowych. Trzech z nich nie żyje, trzech innych znajduje się na Zachodzie, pozostali albo już przystąpili do zdjęć, albo czekają na termin w jednym narazie atelier. Nasze możliwości produkcyjne nie przekraczają obecnie pięciu filmów rocznie. Drugie atelier znajduje się w budowie i będzie ukończone w grudniu bieżącego roku. Z tą chwilą będziemy w stanie produkować osiem, dziewięć filmów rocznie.

Pytanie drugie

Dlaczego Ford nie zajmuje się reżyserią, a Wohl pracą operatorską?

Odpowiedź

Ford i Wohl — podobnie jak reszta kierownictwa Filmu Polskiego uważali i uważają, że w pierwszym okresie po wyzwoleniu sprawa najważniejszą była budowa podstaw organizacyjnych technicznych kinematografii polskiej. Praca ta jest już na ukończeniu. We wrześniu roku bieżącego Ford wchodzi do atelier, jako reżyser filmu „Ulica Graniczna". Obecnie kończy pracę nad scenopisem tego filmu. Wohl stanął już przy aparacie, jako operator i współreżyser filmu „Dwie godziny".

Pytanie trzecie:

Co się stało z filmem „2 razy 2" i dlaczego nie realizuje się filmu „Robinson Warszawski" wg scenariusza Andrzejewskiego i Miłosza?

Odpowiedź

Film „2 razy 2" został zdyskwalifikowany przez Centralny Urząd Kontroli Widowisk, który wytknął scenariuszowi i realizacji szereg dwuznaczności i doszedł do słusznego wniosku, że w naszych warunkach wyświetlanie tego filmu może przynieść tylko szkodę. Opinię te potwierdziły środowiska literackie Krakowa i Łodzi, gdzie film ten wyświetlaliśmy na specjalnych pokazach.

Po głębszym zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że przede wszystkim trzeba zrealizować film o powstaniu warszawskim, a po tym dopiero „Robinsona", który wprawdzie o powstanie zahacza, ale od problematyki powstania ucieka. Realizację „Robinsona Warszawskiego" odłożono na okres późniejszy.

Pytanie czwarte

Dlaczego nie ma dotąd filmu z akcją, którego tłem byłaby Warszawa? Dlaczego nie ma dotąd filmu o partyzantce, kiedy to są tematy, na które czeka nasze społeczeństwo?

Odpowiedź

Film Polski dawno pomyślał o tych tematach i zamówił scenariusze u kilkunastu czołowych pisarzy polskich. Produkcji filmu nie można porównywać z produkcją pary butów, a nawet z budową mostu. Można ją natomiast — przynajmniej w pierwszym etapie — porównywać z twórczością powieściową. Literat mający za sobą szereg utworów powieściowych i pretendujący do znawstwa w dziedzinie filmu, winien do spraw tych podchodzić bardziej ostrożnie niż redaktor dziennika, polujący na krzykliwą sensację. W ramach naszego planu repertuarowego jesteśmy uzależnieni od przedkładanego nam materiału scenariuszowego. Nasz pierwszy film — „Zakazane Piosenki" — mówi o ulicy warszawskiej, która na swój sposób walczyła z okupantem. Drugi film — „Dwie godziny" — porusza sprawy terapii psychicznej, jaka potrzebna jest społeczeństwu wytrąconemu z równowagi okropnościami wojny. „Ulica Graniczna" mówi o młodzieży pod okupacją i u progu wolności Czwartym filmem będzie pogodna komedia o dziejach warszawskiej premiery „Halki" Piątym „Oświęcim". Jeżeli Kurek postawi sobie za cel alarmowanie wszystkimi sprawami, których nie zdążyliśmy jeszcze poruszyć w pięciu filmach pełnometrażowych w ciągu roku, nie wystarczy mu wszystkich sześciu stron „Dziennika Ludowego".

Pytanie piąte

Dlaczego nie realizuje się aktualnych filmów krajoznawczych, których tematem byłyby bory babiogórskie, piękno Tatr, przełom Dunajca itd? Dlaczego nie realizuje się filmów przyrodniczych i krótkometraży, ilustrujących pracę portu w Gdyni, rozpęd przemysłowy odzyskanego Śląska i poszerzonego wybrzeża?

Odpowiedź

Filmy takie są albo na ekranach, albo w stadium realizacji. Przed kilkoma miesiącami ukończono średni metraż „Odrą do Bałtyku", przed tygodniem średni metraż o Podhalu p.t. „Łopuszna, ziemia nieznana". W realizacji jest film krajoznawczy p.t. „Ziemia Lubuska". O rozpędzie przemysłowym Śląska mówił m. inn. film o węglu — „Symbol C". Z okazji Święta Morza zrealizowany został średni metraż „Straż nad Bałtykiem", mówiący o znaczeniu poszerzonego wybrzeża i o rozmachu odbudowy Gdyni. Nad morze wyjechała właśnie ekipa, która pracuje nad filmami „Cztery porty" i „Rybołóstwo".

Dla realizacji filmów przyrodniczych stworzyliśmy specjalną placówkę badawczą i produkcyjną w Żyrardowie. Szefostwo nad tą produkcją objął Uniwersytet Łódzki. Ukazały się właśnie na ekranach pierwsze dwa filmy: „Rak" i „Kałużnica". Na ukończeniu są dalsze trzy.

A więc?

Pytanie szóste

Czy zrobiono film o reformie rolnej? O dzieciach chłopskich uczących się w hrabskich pałacach? Film, który ukaże kontrast Starej i Nowej Naprawy?

Odpowiedź

Filmu o reformie rolnej nie zrobiono. Ukazał się wprawdzie przed rokiem krótki metraż p.t. „Ziemia dla chłopów", ale to oczywiście zagadnienia nie rozwiązuje. Szukamy usilnie scenariusza, który dałby filmowe ujęcie tej ważnej i trudnej do przedstawienia sprawy.

Scenariusz o dzieciach chłopskich uczących się w hrabskich pałacach zamówiliśmy u Franciszka Gila. Narazie ukończono realizację filmu o sierocińcach i żłobkach, które znalazły pomieszczenie w pałacach łódzkich przemysłowców. Scenariusz filmu o Starej i Nowej Naprawie jest właśnie w opracowaniu. Nad scenariuszem tym pracuje Stefan Olcha.

Pytanie siódme

Dlaczego nie realizuje się autonomicznych krótkometraży na następujące tematy:

Hydrocentrala w Rożnowie, kopalnia soli w Wieliczce, Planty Krakowskie, festival muzyczny na Wawelu, kopalnie Wałbrzycha, uzdrowiska Kudowy i sanatoria Karpacza, wykład na uniwersytecie wśród gruzów Wrocławia, wczasy robotnicze w Krynicy.

Odpowiedź

Kurek, który mieszka — jak się zdaje — w Krakowie, mógłby się bez trudu dowiedzieć, że w Rożnowie bawi właśnie ekspedycja krakowskiej ekspozytury Filmu Polskiego. Film o hydrocentrali jest w stadium realizacji. Ta sama ekipa ukończyła właśnie film o kopalni w Wieliczce; filmu o plantach krakowskich nie robimy, mamy natomiast w planie realizację filmu monograficznego o Krakowie, kopalnie Wałbrzycha i wykład na uniwerytecie wśród gruzów Wrocławia pokazaliśmy narazie — niestety — tylko w kronice, natomiast film o wczasach robotniczych, który będzie zarazem filmem o uzdrowisku Kudowy. Puszczykowa i innych miejscowościach kuracyjnych jest już na ukończeniu. Z realizacji filmu o Festivalu Muzycznym w Krakowie musieliśmy z żalem zrezygnować w tym samym czasie bowiem aparatura do zdjęć dźwiękowych zmontowana była w auli uniwersytetu poznańskiego, gdzie odbywał się proces Artura Greisera.

W ten sposób odpowiedziałem na wszystkie — zdaje się — drastyczne pytania pana Kurka. Chociaż — nie na wszystkie. Nie odpowiedziałem na pytanie „kiedy polska produkcja filmowa obudzi się z smacznego dwuletniego snu?". Nie wyjaśniłem także „za co płacą pracownikom Filmu Polskiego". W żadnym wypadku nie płacą im za polemikę z orędownikami kłamliwej sensacji. Stąd „zadziwiające milczenie ze strony kompetentnych ludzi filmu wobec hałasu, jaki rozpętano dokoła tej sprawy". Nie jest to bowiem hałas podyktowany uczciwym zamiarem dopomożenia kinematografii polskiej w jej trudnej i długodystansowej pracy. Przyznaje lojalnie, że w swoim ataku przeciwko filmowi miał Kurek wyjątkowego pecha, wymieniając na chybił trafił takie a nie inne z pośród aktualnych tematów filmowych Przy odrobinie szczęścia mógłby wykombinować repertuar zupełnie odmienny. Mamy bowiem tyle roboty, że jeszcze za rok i za dwa lata można będzie preparować demagogiczne listy tematów, których nie zdążyliśmy, albo nie mogliśmy zrealizować. Ale najbardziej udane chwyty nie potwierdzą fałszywych sugestii. W Filmie Polskim nie ma „bałaganu" i nie ma „karygodnego niedbalstwa". Jest natomiast rzetelna praca, która siłą rzeczy nie może być obliczona na doraźne sukcesy.

Jerzy Bossak

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

Andrzej Stawar: Sienkiewicz (I). — **Julia Hartwig:** Lublin 1946. — W sprawie kieleckiej. — **Mariusz Margal:** Trzeba z żywymi naprzód iść. — **Horacy:** Wiersze — (przełożył **Ludwik Hieronim Morstin). — Piotr Borowy:** Co wart jest gest Piłata. — **Stefan Otwinowski:** Inna strona. — **Olgierd Górka:** O nowe momenty dla genealogii polskiej inteligencji. — **mjz.:** „Wilki w nocy" w Teatrze Powszechnym. — **bd.:** Przegląd wydawnictw. **Ryszard Matuszewski:** Droga do domu z mgły. — **ph:** Przegląd prasy. — **K. h. ż.:** „Światło" jako próba nowego pisma świetlicowego. — **rkm.:** Zbyteczne echo. — Polemika z „Tygodnikiem Powszechnym". — Noty.

Prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie „Kuźnicy". Zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata miesięczna wynosi 40 zł, kwartalna 120 zł.

Od dn. 25 lipca wszystkie wydziały Ambasady Brytyjskiej są czynne pod adresem: Warszawa, Al. Róż Nr 1

(—) P. Howarth
Press Attache

PRZEGLĄD PRASY

Wierni naszej zasadzie sygnalizowania każdego nowopowstałego pisma, zwłaszcza jeśli pismo to ma na celu popularyzację nauki, pragniemy w bieżącej naszej kronice naprawić krzywdę wyrządzoną „Uranii" czasopismu astronomicznemu popularno - naukowemu, którego dotąd z braku miejsca nie zdołaliśmy omówić.

Sprawozdanie nasze z natury rzeczy będzie sprawozdaniem laickim, jako że zagadnienia astronomii nie są nam dostatecznie znane. Podwójny, (1—2), numer „Uranii' jest jednak w większości dostępny dla każdego, kogo interesują losy nauki polskiej w okresie okupacji niemieckiej. Numer ten bowiem zawiera pokaźną ilość wiadomości dotyczących barbarzyńskiej dewastacji jakiej dokonali okupanci w obserwatoriach polskich. Dwa artykuły — wspomnienia poświęcono wybitnym uczonym - astronomom, zmarłym w czasie okupacji: dr. Mieczysławowi Kowalczewskiemu i dr Antoniemu Wilkowi, odkrywcy czterech komet.

Pozostałe artykuły zawierają popularne opracowania zagadnień astronomicznych. Kronika przynosi krótkie wiadomości o najnowszych badaniach. W sumie nowe pismo, popularyzujące naukę tak interesującą jak astronomia, jest z pewnością dodatnią pozycją bibliograficzną. Nie wątpimy, że „Urania" trafi do świetlic robotniczych i młodzieżowych, do bibliotek i szkół i stanie się jednym z instrumentów istotnego, solidnego „upowszechniania kultury". Pismo bowiem popularno-naukowe, które potrafi w sposób zgodny ze stanem dzisiejszej wiedzy zapoznawać czytelników z jakąkolwiek jej dziedziną, odda o wiele większe usługi sprawie „upowszechnienia kultury" niż dziesiątki pism regionalno - literackich, wypełniających swoje szpalty złymi utworami i pretensjonalnymi artykułami.

Z lektury wielu tygodników i miesięczników literackich, które ukazały się w ostatnich tygodniach wynikałoby, że na pozór dalekie od literatury zagadnienia astronomii mają duży wpływ na treść numerów pism literackich. Kanikuła, czyli „psia gwiazda", wzeszła na niebo i pod jej znakiem znajduje się niejeden numer niejednego pisma.

Daremnie wertujemy ostatnie dwa numery „Tygodnika Warszawskiego". Przyzwyczajeni do wytrawnego pióra Stanisława Kozickiego, przeczytaliśmy artykuł wstępny w Nr 29: „Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych". Artykuł ten jest obszernym, kolumnowym streszczeniem książki Waltera Lippmana o polityce zagranicznej St. Zjednoczonych. Glossy autora artykułu są bardzo skromne i jedynie w zakończeniu czytamy, że „Książka ta (książka Lippmana — przyp. nasz) jest dostępna w Polsce. Kto zna język angielski, ten po jej przeczytaniu zrozumie lepiej tendencję polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, będzie ją widział taką, jaka ona jest, a nie taką, jaką by chciał żeby była". Wiadomo, że Lippman jest porte-parole polityki wielkiego kapitału amerykańskiego, a projekt utworzenia „Wspólnoty Atlantyckiej", lansowany przez Lippmana, to inny rodzaj „kordonu sanitarnego", niż ten, który stworzono po wojnie roku 1914—18. Wielka szkoda, że autor tak obszernego sprawozdania nie wyciągnął wniosków z propozycji Lippmana i zadowolił się enigmatycznym wyżej przez nas przytoczonym zakończeniem. Ostatecznie istotę polityki St. Zjednoczonych łatwiej poznamy z codziennych depesz agencji prasowych!

W tym samym numerze Władysław Jan Grabski w artykule „Religia a problem Ziem Odzyskanych" wysuwa rewelacyjną tezę, że zagadnienia religijne na tych ziemiach „są kapitalnego znaczenia". P. Grabski jako pisarz polski, jak sam to zaznacza na początku artykułu, domaga się: wydziału teologicznego na uniwersytecie wrocławskim, nowego ośrodka studiów dla duchowieństwa na Ziemiach Odzyskanych — wszystko to ma zdaniem jego zasadnicze znaczenie „dla zespolenia kulturalnego Śląska z macierzą". Zachowując szacunek dla osobistej wiary każdego obywatela w państwie, sądzimy jednak, że istotnymi czynnikami, które mogą zadecydować i zadecydują o pełnym zjednoczeniu Ziem Zachodnich z macierzą, są: akcja gospodarcza i akcja oświatowa — fabryki, kopalnie, handel, tworzenie się dużych, polskich ośrodków miejskich, szkoły, biblioteki, teatry, prasa. Należy się dziwić i autorowi artykułu i redakcji, że domagają się przede wszystkim załatwienia spraw religijnych, zanim załatwiono całkowicie te kilka realnych, konkretnych, istotnych postulatów. Jest to jednak konsekwencja postawy tych katolików, którzy pogardzają sprawami ziemskimi w Polsce na korzyść spraw niebieskich w Watykanie.

W Nr 29 „Dziś i Jutro" jedyną pozycją interesującą jest artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego „Na marginesie krakowskich dyskusji". Kętrzyński wyjaśnia obszernie stosunek katolików do odbywających się przemian społecznych. Artykuł ten jest wynikiem krakowskich dyskusji między przedstawicielami obozu lewicy i katolikami, zainicjowanych przez redakcję „Odrodzenia" (vide sprawozdanie Kazimierza Wyki w Nr 27 „Odrodzenia"). Kętrzyński stwierdza, że marksiści oceniają katolicyzm, wychodząc z założenia w którym nie mieści się pojęcie religii, tak jak pojmują ją katolicy. Ta ocena jest źródłem nieporozumień. Dalej wyjaśnia Kętrzyński sprawę uniwersalizmu katolickiego: „Brak zrozumienia (ze strony marksistów — przyp. nasz) dla uniwersalistycznego charakteru katolicyzmu powoduje, że ustosunkowują się (marksiści — przyp. nasz) do Papiestwa jako do instytucji zbędnej, sztucznie narzucającej swą wolę katolikom".

Przyznając, że Watykan w swej polityce może popełniać błędy, pisze dalej Kętrzyński: „krytyka marksistowska jest tym bezpodstawna, że neguje uniwersalistyczny charakter katolicyzmu i pragnie patrzeć na posunięcia Watykanu tylko przez wąski pryzmat interesów politycznych danego państwa".

Kętrzyński, zastrzegając się, że wypowiada jedynie swój sąd osobisty, stwierdza, iż mimo wszystko „w Polsce możliwe jest tylko wspólne budowanie, to znaczy takie, które by stwarzało warunki jednakowego rozwoju dla zwolenników jednego jak i drugiego obozu".

Wyszukując dalsze interesujące pozycje w pismach katolickich, trafiamy w Nr 30 „Tygodnika Powszechnego" na essay G. K. Chestertona „Niebezpieczeństwa Europy". Znakomity pisarz angielski dowodzi, że wolteriański sceptycyzm stał się natchnieniem pruskiej tyranii, że w gruncie rzeczy kit sceptycyzmu ma dwa końce, których można używać zarówno do obalenia tronów jak i do zdławienia wszelkich reform. Chesterton ostrzega przed racjonalizmem, tylko dlatego, że pewne jego interpretacje rzekomo mogą doprowadzić do najmniej przewidzianych przez jego zwolenników skutków. Ale dlaczegóż jedynym lekarstwem na „Niebezpieczeństwa Europy" miałby być odwrót do ideałów średniowiecza? Czyż nie prościej czuwać nad prawidłowością przekształcania się teorii w praktykę?

Spory artykuł Przemysława Mroczkowskiego został poświęcony Chestertonowi. Autor apoteozuje fideizm Chestertona. Pozwala to p. Mroczkowskiemu w analizie chestertonowskiej ideologii na napisanie następującego zdania: „Stąd... wiara w człowieka, jako wtóczęgę spod gwiazd, ukształtowanego „na obraz i podobieństwo". A reszta układa się po prostu." Wobec tego wydaje się nam zupełnie konsekwentna pochwała Chestertona — zwolennika średniowiecza, gdzie „w upartej walce z barbarią zbuduje się system cechów, własność prywatna, jako podwalina swobody społecznej"...

Byłoby celowym zbadać ów kult Chestertona, jaki przejawiają niektórzy nasi pisarze katoliccy. Obawiamy się, że podoba im się przede wszystkim w nim to, co jemu samemu podobało się w układzie stosunków polskich. Dwaj wybitni pisarze angielscy wypowiadali swoje sądy o Polsce — Wells i Chesterton. Przeciwstawność ich zdań wynikała ze stosunku do przedwojennej polskiej rzeczywistości. Chestertona, jednego z niewielu katolickich pisarzy Anglii, pociągał chyba styl katolicyzmu polskiego, tak odmienny od francuskiego modernizmu, agrarna struktura kraju, tradycjonalizm — pozostałości i odpryski „średniowiecza". To właśnie odstręczało Wellsa. Dlaczego jednak nasi katolicy, którzy muszą sobie chyba zdawać sprawę z nieaktualności pewnych prądów w katolicyźmie, z niemożliwości opierania się o mit „wieczystego człowieka", w oderwaniu od konkretnych warunków gospodarczo-społecznych, nawracają z uporem do Chestertona? Chyba tylko po to, by powtarzać sobie samym, że racjonalizm i „gruby" materializm naszych czasów niesie „niewolę społeczną, zdeptanie osoby, paraliżujący sceptycyzm intelektualny, dehumanizację kultury". Natomiast szlachetny spirytualizm zanurzony w „klasyczne" średniowiecze może jeszcze uratować świat. Jak? Odpowiedzi krótkiej i jasnej udziela nam p. Mroczkowski, formułując program naprawy według Chestertona: „jasne postawienie konkretnego ideału, właściwy pogląd na człowieka i jego potrzeby, wreszcie, jak przypominał niedawno ks. Piwowarczyk, powrót do wolności przez uwłaszczenie i drobną własność prywatną". Jakkolwiek pierwsze tezy są bardzo ogólnikowe, to ta ostatnia, poparta autorytetem ks. Piwowarczyka, jest dla nas zupełnie zrozumiała. Ale po cóż sięgać do Gilberta K. Chestertona? Wystarczy uważnie czytać „Gazetę Ludową!"

ph.

NOTY

Cui bono?

Przeczytałem w czasopiśmie „Pobudka" artykuł anonimowy p.t. „Polowanie z nagonką". Przemiła lektura wakacyjna: dowiedziałem się od anonimowego donosiciela, że wytykając ob. Dowborowi, Dyrektorowi Łódzkiego Urzędu Likwidacyjnego, niezgodne z zasadami demokracji ludowej postępowanie w stosunku do Związku Literatów i Związku Kolejarzy, padłem bezwiednie ofiarą szatańskiej intrygi. Szatanem ma być niejaki mecenas Popecki, który nie otrzymał mebli z Urzędu Likwidacyjnego, onże członek Peperu. Przypuszczam, że wielu jeszcze innych obywateli nie otrzymało mebli i że znajdzie się między nimi wielu członków PPS i SL i nawet PSL, albo nawet ludzie bezpartyjni tak jak prezydium Łódzkiego Związku Literatów. Ale jako człowiek srodze doświadczony przez historię wiem doskonale, że obie wojny światowe wywołali cykliści, Żydzi i peperowcy. Jestem niezmiernie wdzięczny anonimowi z „Pobudki", że mnie ostrzegł przed demonem. Lepiej późno niż nigdy. Warto by również ostrzec kolejarzy. Szkoda, że o biednych kolejarzach proletariacki obrońca ob. Dowbora na śmierć zapomniał.

awk

Wolność prasy

Narodowy Związek Dziennikarzy w Wielkiej Brytanii oświadczył, że „wolność prasy nie może być naruszona przez skupienie dzienników w rękach dwóch lub trzech potężnych przedsiębiorstw handlowych".

A tak właśnie dzieje się w Wielkiej Brytanii! To bardzo skutecznie likwiduje wolność prasy.

wsp

„Nie ginie to co pada"

W nr. 28 „Chłopskiego Sztandaru" p. Jerzy Świrski wydrukował recenzję ze zbioru poezji Janiny Wójcickiej „Czynom i prochom". Artykulik ten nosi tytuł „Nie ginie to co pada", zamieszczając następujący cytat:

„Czynom oddanym życiu
Prochom oddanym ziemi
Garść żalnych niosę słów.
Wiatr miecie rdzawe liście
I budzi, budzi znów
Powrotny, krwawy żal...
Podwaja go, powiększa,
Sięgając aż do wnętrza
Najskrytszych snów.
Prochom i czynom waszym
Zamiast jaśminów białych,
Garść żalnych składam słów".

p. Jerzy Świrski (nie bardzo wysilając swój umysł) pisze:

„Ze wzruszeniem i z głęboką zadumą czytamy strofy Janiny Wójcickiej. Ten bowiem mały tomik poezji wśród licznych wydawnictw doby obecnej lśni bielą, tchnie wonią białych jaśminów... goreje najczystszą miłością i uwielbieniem dla najidealniejszej części duszy człowieczej.

I kto pragnie pogrążyć się w zadumie żywego piękna i wiecznej prawdy, winien przeczytać „Czynom i Prochom" Janiny Wójcickiej".

Istotnie, pogrążamy się, obywatele!

pk.

Urwisko i szkielet

W numerze 27 Tygodnika Powszechnego można znaleźć sympatyczną pochwałę grupy młodych (i niemłodych) poetów warszawskich „Próg", ogłaszających utwory w dziale literackim pisma Odnowa. „Jest to... coś więcej niż strona, poświęcona literaturze w politycznym periodyku" — powiada p. Goa, autor pochwalnej notatki, albowiem zespół Progu, do którego należą „lub z nim współpracują" tacy poeci jak Ostromęcki, Rymkiewicz, Kołoniecki, Zieliński, Kierst, Jastrzębiec-Kozłowski i inni, „pracuje nad sprecyzowaniem swego oblicza ideowego i poetyckiego" i wyrażając się bardzo niepochlebnie o Skamandrze (jego jednostronność: „Konieczność" (tudzież o Awangardzie) jej jednostronność: „Wolność"), poetykę swą wywodzi z „nienasycenia form", zbliżając się w ten sposób ideowo do postępowego „Tygodnika Powszechnego" a formalnie do ortodoksyjnie katolickiego autora „Sonaty Belzebuba", „Wariata i Zakonnicy", „Pożegnania jesieni", szeregu cennych rozpraw filozoficznych i świetnej książki o narkotykach.

Jest to droga — ciągnie dalej p. Goa, „po jakiej iść należy, by — wyzbywszy się *deklamacji chrześcijańskiej* (podkr. p. Goa) — tworzyć dzieła, będące „chrześcijańskimi z ducha", „uniknąć wszelkiej programowości w pracy twórczej, a wszelka zaś programowość jest sztuczna", no i naturalnie pracować świadomie „nad uniknięciem niewoli sztuki, jaka wynika w najdalszej konsekwencji z postawy marksistowskiej".

Ostatni cytat brzmi obiecująco i powabnie. Czy poeci związani z ruchem lewicowym załamaliby się pod jarzmiem „niewoli sztuki" można się łatwo przekonać czytając wiersze Broniewskiego, Jastruna, Przybosia i Ważyka.

Jak natomiast przedstawia się „wolna poezja" Progu?

Program jej wykłada w „Progu" jasno i bez reszty p. J. Kierst (nr 5). Najpierw trochę semantyki. Wbrew sugestiom nazwy, nie chodzi tu o to — zastrzega się autor — że „twierdzą nam będzie każdy próg", ani o to, żeby

Wziąć tabie topór oburącz
siąść stróżem u proga
(Wyspiański),

lecz, że „problem Progu równie jak problem nienasycenia jest wieczny", bo „Próg to niewiedza, rozdzierana światłem". Dla poety zaś „progiem jest przede wszystkim jego osiągnięcie, które przekroczyć ma nowym rzutem, a powtóre — poziom literatury narodowej, zmuszający do coraz szerszego i wyższego oddechu, właściwego atmosferze spokojnych szczytów, naświetlonych w dzień słońcem, a w nocy gwiazdami".

Nic też dziwnego, że poezja, reprezentowana przez grupę Progu jest wysokiego lotu, właściwego atmosferze spokojnych szczytów.

Ja jestem w Tobie, a Ty jesteś we mnie,
z Tobą i moje imię w czasie legnie.
Znam Cię i nie wiem—na próżno się mylę,
Znam Cię i nie wiem — kim jestem w tej chwili?—

zapytuje z goryczą p. Roman Sadowski w wierszu „Ty i ja" (Odnowa Nr 5)

Uwikłany w pośpiech wszechżyjących,
iskra w locie — drgający płomień —
wiem, że nigdy pragnień mych, zbyt rączych
nie dogonię —

skarży się w przejmującej modlitwie p. Zofia Zawadzka.

Kiedy się iskrzy inny dzień
i pochyla nade mną całując lekko w czoło,
On jeden wie, jak zmagam się,
aby Go dojrzeć przez powietrze,
kiedy to On wokoło. —

pisze ze Skolimowa p. B. Ostromęcki (Tygodnik Warszawski Nr 30). Wiadomo, że Pan Bóg nie pozwala poetom-marksistom na takie pogaduszki ze sobą, zsyłając na nich szczególne zaćmienie umysłu, zwane kulturą literacką. Poetom Progu to nie grozi, ale nie wydaje mi się fair w okresie budowania pokoju niepokoić Boga swoją praktyką poetycką. Bo na pewno odczuje On niesmak, słysząc takie np. oferty:

O, lecz kiedy zwietrzeje dotyk i wyschnie mózg
i do trzewika Twego zmarzniętą rękę dotrę —
daj, by to, co dzieliło nas na nim złożyć mógł,
karczek dziecka, żony skromnie, serce moje niemądre...
(St. Ziembicki, Pomiędzy nami, Dziś i Jutro Nr 28)

Dlatego witając z wielką sympatią usiłowania warszawskiej grupy młodych (i niemłodych) poetów „Próg" i cytując z satysfakcją pochwały „Tygodnika Powszechnego" oraz ich własny — jakby powiedzieli niedobrzy marksiści — bełkot, chciałbym zwrócić im uwagę, by nie nadużywali zbyt nagminnie Pana Boga jako rekwizytu poetyckiego i przestrzec ich, że nie na tej drodze znajdą wyzwolenie od niedającej im spokojnie spać poezji marksistów, słowami ich czołowego teoretyka i poety, cytowanego p. J. Kiersta (z wiersza Muza):

Dokąd? Dokąd? Tam rzeka się pieni,
tam urwisko i szkielet. Był most.
Tam olbrzymie rodzą się pieśni —
od nich w grozie bezgwiezdna drży noc.

Jako również początkujący autor nad ostatnim dwuwierszem stawiam ironiczny znak zapytania.

Tadeusz Borowski

Ostatni diderota

Był Diderot konfiskowany, cenzurowany, palony. Pisma jego krążyły potajemnie, tłoczyli je dziennikarze w Holandii i Szwajcarii, przemycali przez granicę Francji. Było to dawno...

A teraz **ad rem. W ostatnim** numerze „Przekroju" w „Kropce nad i" polemizowałem z Janem Nepomucenem Millerem o wartości Szekspira dla współczesnego teatru w Polsce. Jan Nepomucen Miller za Wolterem powtarzał, że Szekspir to „zielona małpa". Jak Miller sięga do Woltera to myślę sobie, ja nie będą gorszy i zajrzę do Diderota. I napisałem.

„Nie będę bronił Szekspira ani przeciwko Wolterowi, ani Millerowi. Ale skoro już cytujemy klasyków, przypomnę Diderota, który w „Paradoksie o aktorze" pisał: „Szekspir jest jak posąg Św. Jana Chrzciciela w katedrze Notré Dame, prymitywny i barbarzyński, ale tak ogromny, że wszyscy możemy przejść pomiędzy jego nogami, nie zawadzając głową o genitalia".

I dodałem: „Czyżby Jan Nepomucen Miller zawadził?...

Cały ten ustęp znikł z mego felietonu w „Przekroju". Aby tak zrobić trzeba być ostatnim diderotą, drogi panie Próchnicki.

jk.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D—09306

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.